MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XVII. Nr. 1 WARSZAWA, 2 STYCZNIA 1938 R. CENA NUMERU 80 GR.

BEZ PROGRAMU GOSPODARCZEGO

ROK 1937 był w gospodarstwie polskim rokiem rozbudzonych nadziei. Pomysłowość wicepremiera Kwiatkowskiego (Polska A, B, C, a teraz już i D — Wileńszczyzna) i jego entuzjazm wywołują pewien ruch umysłów, budzą nadzieję a nieraz dają początek pewnej akcji gospodarczej, głównie zresztą etatystycznej i rządowej. Ogół polski, tzw. opinia publiczna, osądza wyniki akcji w terenie po ruchu zewnętrznym i oczywiście wyolbrzymia je. Tworzą się legendy.

Byłem niedawno w Dębicy. Z gazet, z radia, z różnych komunikatów społeczeństwo sądzić może, że w tej Dębicy Bóg wie co się dzieje. A tymczasem, poza przeniesieniem z Rapszyc i Pilzna do Dębicy władz powiatowych (co pomogło Dębicy, ale podkopało Rapszyce i Pilzno), tylko partia 100 robotników krząta się około budowy kilku domów mieszkalnych. Fabryki sztucznego kauczuku jeszcze nie ma. W Przyborowie, położonym o 10 klm od Dębicy, rządowy „Polmin" dokopał się gazów, szyb jednak zablokował, bo na razie nie ma ani urządzeń odprowadzających ani — odbiorców. Oto wszysko. A jednak ludność Dębicy i całej okolicy żyje pod wrażeniem wielkiego planu Centralnego Okręgu Przemysłowego. Podrożały grunta, domy, mieszkania, nawet środki żywności. Ale dotąd nie zjawił się ani jeden milioner, czy choćby krociowy przemysłowiec, któryby chciał w Dębicy stworzyć jakikolwiek warsztat pracy. I w Rożnowie, i w Mościcach, i w Polminie i w Stalowej Woli, i w Rzeszowie pracuje głównie, jeśli nie wyłącznie, kapitał państwowy. Tworzy pewne grupy przemysłu, ważne zwłaszcza dla obrony państwa, uzbraja teren w pewne podstawowe urządzenia (elektryczność, gaz, a oby również drogi i koleje) — i na tym koniec. Do stworzenia aż Centralnego Okręgu Przemysłowego (jakże wielkie to słowo!) potrzeba o wiele, wiele więcej.

Ledwie zaczęto budować „okręg przemysłowy", a oto zjawili się już groźni rywale. Do Okręgu Centralnego włączono już i północną Kielecczyznę i prawie całą ziemię lubelską. Istnieje zamiar objęcia tym pojęciem i zagłębia borysławskiego. W ten sposób nowy Centralny Okręg Przemysłowy obejmie jakieś 60 — 70 powiatów, a więc czwartą część Polski!

Mało tego: upomniała się o swoje prawa Polska B. — również odkryta przez wicepremiera Kwiatkowskiego. Zjazd gospodarczy w Wilnie (pp. Kwiatkowski, Ulrych, Kościałkowski, Poniatowski, marsz. Prystor) otrzymał przyrzeczenie, iż plan gospodarczy rządu obejmuje również Wileńszczyznę i Nowogrodzkie. A Polesie?

Kto przegląda prasę wielkopolską i pomorską, ten znajdzie tam wiele goryczy z powodu macoszego traktowania tych ziem w 4-latkach gospodarczych rządu.

Min. Kwiatkowski rozbudził — jak widzimy — olbrzymie nadzieje. Plany jego mają jednak bardzo słabą stronę: oparte są one głównie na kredycie państwowym. Nie podążają za nimi w większej, pożądanej i potrzebnej mierze kapitały i inicjatywa prywatna. Kapitałów wielkich Polska nie ma, a drobne nie zostały zorganizowane. Po odpadnięciu całej wrzawy, oparów i reklamy, pozostaną na miejscu stosunkowo nieliczne placówki przemysłowe i — powszechne uczucie zawodu. Tak pięknym był sen o — Centralnym Okręgu Przemysłowym, obejmującym pół Polski, bez Śląska i zagłębia krakowsko-dąbrowskiego...

Wbrew planom rządowej góry wielu w Polsce twierdzi, iż istotny wysiłek państwa winien iść w

kierunku tworzenia wielu średnich i całkiem drobnych warsztatów produkcji; w kierunku przyśpieszenia procesów oszczędnościowych i zatrzymania gromadzonych oszczędności w lokalnych instytucjach na lokalne potrzeby, a nie centralizowanie ich i zużywanie na potrzeby różnych rządowych 4-latek. Dopóki nie wykonamy tych podstawowych prac, wielkie przedsięwzięcia przemysłowe, także i w okręgu przemysłowym, będą jak kwiat na kożuchu albo piramida Cheopsa, zasypywana nieurodzajnym piaskiem.

Polska ma kilka kapitalnych zagadnień gospodarczych do zrealizowania. Mówimy również o uprzemysłowieniu kraju. Jakże często rozumiemy przez uprzemysłowienie tylko jedną, dziesiątą czy setną fabrykę. Zaniedbaliśmy dokumentnie dział równie ważny, a łatwiejszy do przeprowadzenia: to dział surowców własnych i zastępczych.

Jakże kompromitującym jest obrazek, którego świadkami byliśmy ostatniej jesieni. Wspólnota Interesów ogłosiła afiszami, rozlepionymi w wielu powiatach, iż dawać będzie premie 50-złotowe i pokryje koszty przesyłki tym, którzy znajdą na swym polu „rude kamienie" czyli poprostu rudy żelaza. Efekt tej prymitywnej formy poszukiwania tak potrzebnego Polsce surowca jest wręcz olśniewający: chłopi zaczęli masowo wysyłać pod wskazane adresy paczki z ziemią i kamieniami. Już pierwsze badania dowiodły, że Wspólnota Interesów natrafiła na prawdziwe „żyły złota", na olbrzymie pokłady rozmaitych rud.

Jak się to stać mogło, że dopiero teraz widzimy wszyscy owe rudy? że ich nie widział nikt dotąd? Wszak w okolicy Krosna, Jasła, Gorlic, Tuchowca, więc tam, gdzie na linii 50 klm odkryto rudy, pracowali od wielu lat geolodzy, inżynierowie naftowi i inni praktycy i uczeni! Jak się to mogło stać, że żaden z nich nie zajął się owymi surowcami? Że nasz państwowy instytut geologiczny dotąd nie przyjrzał się owym okolicom?

Ten i ów z fachowców miał już dawniej owe „kamienie" w ręku i wiedział, że jakieś rudy na Podkarpaciu czy w Kielecczyźnie są, ale każdy z nich szukał nie rud, a nafty, gazu czy jeszcze czego innego i rudy go nie interesowały. Przemysł żelazny (i nie tylko żelazny), w większości z ducha nie polski, miał do swej dyspozycji i rudy i inne surowce zagraniczne, pocóż ma szukać rud ubogich (tak się z góry mówiło) po Polsce, pocóż ma ryzykować?! Dopiero brak dewiz na zakup rud zagranicznych skłonił rząd, a potym i różne gałęzie przemysłu do poszukiwań *à la* Wspólnota Interesów.

Historia z odkryciem rud, jak dziś—z przesadą zapewne—zapewniają dziennikarze, bogatszych od złóż angielskich, kompromituje nas wszystkich. Sami nie wiemy, co posiadamy. Zapatrzeni w cudze, nie umiemy wyzyskać i uruchomić własnych bogactw naturalnych!

Prywatne obliczenia podają, iż w ciągu niespełna 20 lat ostatnich zapłaciła Polska za surowce odzieżowe, sprowadzane z wielu krajów, ponad 6 miliardów zł. Nasze surowce: len, konopie, wełna, skóry są jeszcze dotąd u ogółu w pogardzie lub lekceważeniu. Nasza nauka tylko ostrożnie i powoli, a nieufnie idzie za pionierami obcymi w poszukiwaniu surowców zastępczych. Nasz przemysł włókienniczy, chemiczny, tłuszczowy, żelazny broni się, jak może i jak umie, przed narzucanymi mu przez polską rzeczywistość koniecznościami dostosowania swoich warsztatów do przeróbki polskich surowców. Znane są wieloletnie przetargi o polskie oleje zwierzęce i roślinne, o używanie polskiej wełny, o lanital i sztuczny jedwab, o len itp. Przemysł nie ma zaufania do polskich surowców. Polski zaś nie stać na oparcie wielkich odcinków swojej produkcji na surowcach zagranicznych.

Tylko powoli, przy łamaniu wręcz niesamowitych przeszkód, polskie życie gospodarcze sięgać zaczyna naszych własnych bogactw naturalnych.

Jakiż jest nasz stosunek do ziemi?

Rzucono w ostatnich dwu latach bardzo mocne hasło: nie wolno dzielić drobnych gospodarstw włościańskich. Hasło to przybrało już nawet kształty realne w źle zredagowanej ustawie o niepodzielności gospodarstw, powstałych z parcelacji. Rada społeczna przy Prymasie Polski hasło to podjęła jako niemal cudowny lek na wiele bolączek wsi. Sejmowe koło rolników od roku biedzi się nad projektem zasadniczej ustawy w tym przedmiocie. A tymczasem wszyscy wiedzą, a przynajmniej wiedzieć powinni, że problem niepodzielności gospodarstw włościańskich jest tylko jednym szczegółem w całym obszernym zagadnieniu wsi. Najlepsza nawet ustawa pozostanie martwą i papierową, jeśli nie stworzymy możliwości odpływu nadmiaru ludności z roli i ze wsi do innych zawodów i do miast. Zatym i problem niepodzielności gospodarstw włościańskich traktowany być może realnie tylko w ścisłej łączności z uprzemysłowieniem kraju, z odżydzeniem handlu i rzemiosła, z polityką kredytową państwa, z kolonizacją ziem wschodnich i zachodnich itp.

Sfery gospodarcze Polski, może dla tego, że w wysokim procencie nie są z pochodzenia i z ducha polskie, sfery rządowe zaś z niedość uzasadnionych i zrozumiałych przyczyn, nie chcą przyjąć programu, sformułowanego przez Obóz narodowy, a swojego nie mają. Skutki tego stanu wszyscy widzimy i wszyscy odczuwamy.

Polsce potrzebny jest program: program polityczny, gospodarczy, oświatowy. Niestety, tak ogół ludności, jak i obecnie decydujące czynniki państwowe i gospodarcze, wolą działać doraźnie i odruchowo. Opóźnia to i utrudnia wyjście z wielu trudności, które już dawno winny były zniknąć z naszego życia.

STANISŁAW RYMAR

PRZEBUDOWA USTROJU FRANCJI

(W ŚWIETLE KSIĄŻKI A. TARDIEU)

DOPIERO ostatnia książka A. Tardieu'go daje poznać czem są t. zw. „rządy parlamentarne" w praktyce. Klasyczne podręczniki prawa konstytucyjnego przedstawiają tylko zarysy teoretyczne parlamentaryzmu, który przy abstrakcyjnem ujęciu wydaje się jednocześnie prostą i misterną konstrukcją zadawalającą wszystkie wymagania, które można stawiać ustrojowi państwowemu z punktu widzenia dobra powszechnego. W pierwszym tomie swoich studjów zatytułowanych *„La Révolution à refaire"* poddał Tardieu druzgocącej krytyce „zasady" wielkorewolucyjne, wykazując ich sprzeczność z prawami życia, niemożliwość ich urzeczywistnienia i katastrofalne skutki usiłowań realizacyjnych (zob. A. Tardieu — *„La Révolution à refaire. Le souverain captif"*).

W tomie drugim, *„La profession parlementaire"* przedstawił Tardieu całokształt parlamentaryzmu takiego jakim on jest w rzeczywistości. Poszczególne strony praktyki parlamentarnej charakteryzowali już różni wybitni autorzy, ale dopiero Tardieu dał obraz całkowity z punktu widzenia politycznego i pierwszy raz autorem obrazu jest człowiek, który przez lat 20 był posłem, trzy razy był premierem i jedenaście razy był ministrem. Ostrogorski i lord Bryce zostawili dzieła poświęcone mechanizmowi partyjnemu, Robert de Jouvenel napiętnował mafijność i kastowość rządów parlamentarnych, Bonnard w świetnem studjum o oportunistach (*„Les Modérés"*) zanalizował przyczyny stałego posuwania się *régime'u* na lewo; Tardieu ogarnął wszystkie te tematy.

Cały *régime* parlamentarny to błędne koło scharakteryzowane w przytoczonem przez Tardieu'go zdaniu markiza de Vogué: „Wyborca żebrze o łaski posła, poseł żebrze u ministra, który wyżebrywa głosy posłów, żebrzących o głosy dla siebie u wyborców". Wydawałoby się, że jest przedstawicielstwo narodowe w opartych o szerokie, demokratyczne głosowanie instytucjach parlamentarnych, sądzić można, że odpowiedzialność rządów jest zapewniona dzięki *régime'owi* opartemu na wyborach i obsadzaniu najwyższych stanowisk politycznych przez głosowanie. To wszystko fikcje. Fikcją, oszustwem jest reprezentowanie całego narodu przez każdego posła, fikcją odpowiedzialność, fikcją współpraca. Naród francuski liczy 42 miliony członków, z nich 8 milionów głosuje do parlamentu, większości parlamentarne wychodzące z głosowań przedstawiają koło 10.5% ludności i zdarza się (ustawa o rozdziale Kościołów od państwa uchwalona została większością przedstawiającą 2 miliony 600 tysięcy głosów), że proporcja spada do 6%; dodać jeszcze wypada, że zwykle w sali posiedzeń jest nie więcej niż 100 posłów i większość wotuje przez pełnomocników. „I to, zapytuje Tardieu, śmie się nazywać wyrazem woli powszechnej?" 94% ludności otrzymuje ustawy tworzone jako wyraz woli sześciu procentów!

U podstaw *régime'u*, stwierdza Tardieu, jest nie współpraca lecz współzawodnictwo urzeczywistniające się w postaci nieubłaganej walki apetytów. *Régime* parlametarny i republikański został urzeczywistniony w imię mistyki, ale już dawno mistyka dla której umierano została zastąpiona przez politykę, z której się żyje. W parlamencie znajdują odzwierciedlenie dwa interesy zawodowe posłów: statyczny — zachowanie dożywotnie mandatu, i dynamiczny — zdobywanie stanowiska ministra. Parlamentarzystów jest koło tysiąca, a ministrów koło trzydziestu; dlatego odbywa się ciągłe przewracanie „gabinetów" ministerialnych (było ich dotąd w III Republice 103), bo apetyty muszą być zaspakajane. Przy tem jednak plus *ça change* plus *c'est la même chose*: upadki „gabinetów" powodują zwykle nieznaczne przesunięcia personalne, najczęściej zostają ministrowie z poprzedniego rządu tylko zmienia się przydział tek ministerialnych i to nie wszystkich (np. typowy był pod tym względem upadek rządu Bluma i objęcie premierostwa przez Chautemps'a). Możnaby przypuszczać, że ta istniejąca w praktyce stałość personelu ministerialnego *„les ministrables"* naprawia wady parlamentaryzmu, że podobnie, istnienie grup parlamentarnych reprezentujących określone interesy i ciągły kontakt parlamentarzysty z wyborcami zbliżają parlament do interesów znajdujących się po za drogą egoistycznej karjery politykierskiej. Tak nie jest. Istniejąca w praktyce stałość personelu rządowego zapewnia trwałość *régime'u*, dzięki któremu kraj jest zatruwany przez mistykę i wyzyskiwany przez kierujące maszynerją rządową kliki; grupy parlamentarne broniące określonych interesów gospodarczych, złożone są nie z fachowców lecz z żonglerów politycznych sprzedających się bądź kartelom, bądź klasowo-rewolucyjnym syndykatom; posłowie kierując się partykularnymi interesami swoich wyborców wykolejają administrację swoich okręgów wyborczych, zmuszając ją do stawania na swoje rozkazy i w głosowaniach nad zagadnieniami powszechnemi biorą pod uwagę drobne intrygi ze swego terenu wyborczego.

Tardieu stwierdza, że wszystkie „zasady" stanowiące istotę parlamentaryzmu spowodowały zwyrodnienie parlamentu i uczyniły go zgromadzeniem członków kasty zawodowców politykierskich. Prawidła, że ministrowie są parlamentarzystami, że muszą mieć poparcie większości parlamentarnej, uprawnienia do interpelowania ministrów, do zgłaszania poprawek, inicjatywa parlamentarna, zatwierdzanie budżetu, — to wszystko sprawia, że rządy są w istocie komitetami wykonawczymi większości. Kontroli nie ma, ani oszczędności, ani dobrych ustaw, nie ma ani rządów ludu ani odpowiedzialności. W marcu 1937 roku rząd Bluma wyciągnął 8 miliardów franków jako pożyczkę narodową „na obronę kraju"—co się stało z tymi 8 miljardami tego nie przedstawił ani rząd Blum-Chautemps, ani jego następca rząd Chautemps-Blum; w ciągu kilku lat budżety wzrosły o przeszło 100% głównie z powodu nowych wydatków personalnych, które są niczem innem jak „manną wyborczą"; ustawy są niepraktyczne, wymagają dziesiątków poprawek i uzupełnień, ta zła redakcja i niepraktyczność ustaw z inicjatywy parlamentarnej jest chroniczną chorobą ustroju. Tardieu porównywa francuską republikę parlamentarną z *régime'ami*, które ją poprzedziły we Francji od r. 1789 i z ustrojem angielskim i północno-amery-

kańskim. Z daniem Tardieu'go konstytucja francuska z 1791 słusznie zabroniła ministrom być posłami, Karta Ludwika XVIII-go z 1814 r. słusznie ograniczyła kompetencję inicjatywną Izb; w Anglii jest lepiej niż we Francji dzięki temu, że Izba Gmin nie ma inicjatywy finansowej, że nie istnieją w parlamencie angielskim stałe komisje parlamentarne, że nie ma interwencji poselskiej w administracji, a przedewszystkiem dzięki stosowaniu zasady rozwiązywania parlamentu, wskutek czego los rządów nie zależy od intryg kuluarowych, lecz od rzeczywistych poważnych zmian w opinii publicznej; po za tem w Anglii izby parlamentarne są naprawdę różnymi elementami biorącymi udział w procesie ustawodawczym, gdy tymczasem we Francii senat jest złożony z byłych posłów, a Izba poselska z przyszłych senatorów i właściwie Francja ma parlament jednoizbowy, w którym dwuizbowość uwydatnia się w tem, że senat przewraca „gabinet", którego nie obaliła Izba poselska i *vice versa*.

W gruncie rzeczy III Republika jest rządzona przez „Konwencję", jak I Republika, przez „Zgromadzenie Narodowe", jak II Republika. We Francji nie ma prawnie dwóch środków powstrzymujących despotyzm parlamentarny: rozwiązania parlamentu i referendum, zaś dwa inne środki, odwołanie się konstytucyjne i dwuizbowość są bezskuteczne, w praktyce nieistniejące. Rozwiązanie Izby poselskiej dopuszczalne jest tylko za zgodą drugiej części parlamentu — senatu, wydarzyło się tylko raz, w 1877 r., i zostało okrzyczane wtedy jako zamach stanu, choć było całkowicie legalne; odwołania się od ustaw do konstytucji, bądź w drodze petycji na terenie samego parlamentu, bądź przed sądami, nie ma poprostu dlatego, że Francja nie ma konstytucji, ustawy z 1875 r. milczą o prawach obywatelskich i ich ochronie. A naczelnik panstwa-prezydent? Tardieu konstatuje: „W szkołach uczą małych Francuzów, że prezydent republiki jest naczelnikiem państwa: jest to puste słowo. Jako naczelnik ma prezydent republiki uprawnienia zewnętrzne, eskorty i „Marsyliankę". Prócz tego dzięki współdziałaniu instytucji i obyczaju nie ma nic, nic". Parlamentarzyści urządzając „strajk ministrów", jak to zrobiono w 1923 r. Millerand'owi, zmuszają prezydenta do ustąpienia; jest on przez nich wybierany, więc oni także mogą go dymisjonować. Tylko marszałek de Mac-Mahon był prezydentem z poza środowiska parlamentarnego; od jego czasów prezydent jest najbardziej uszamerowanym dygnitarzem parlamentaryzmu i w ostatnich czasach jest to zwykle były prezydent senatu. Pochodzenie naczelnika państwa decyduje o nim, zależy on ciągle od źródła swej władzy: „Prezydent, konkluduje Tardieu, umiera dzięki swemu pochodzeniu. Nie jest on naczelnikiem państwa, lecz zawodu parlamentarnego. Jest on tak bezsilny jak Dyrektorjat, który wybierano w ten sam sposób".

Francuski parlamentaryzm, ten parlamentaryzm demokratyczny, szeroki, liberalny, choć służy osobistym interesom, ma jednak swoją „linię generalną", swoją naturalną tendencję, swoją treść ideologiczną. Ta treść wynika ze źródeł *régime'u*, który powstał z rewolucji, z mistyki antytradycjonalistycznej Wielkiej rewolucji; treść demagogiczna, stały pochód na lewo — taka jest istota *régime'u*, stałe hasło taktyczne brzmi: Nie ma wrogów na lewo, stałe dążenie jest do *„l'union des gauches"*, zjednoczenia lewicy. Tę taktykę stosował już Lafayette i Robespierre. Po zamknięciu drugiej części W. rewolucji, którą było I cesarstwo, przez Restaurację Bourbonów zaczęła się współpraca dwóch wzajemnie się oszukujących elementów lewicowych, rewolucyjnych, a mianowicie bonapartystów i republikanów.

Pierwsza z nich *„l'union des gauches"* zaskoczyła Francję urządzeniem rewolucji 1830 i 1848 r. i założeniem II-go cesarstwa, pół wieku trwał jej wpływ na losy Francji. Thiers ogłosił po upadku II-go cesarstwa, że „republika będzie konserwatywna, albo jej nie będzie" i, że „republika najmniej dzieli". Tardieu stwierdza słuszność zdania jednego z historyków, który nazwał te frazesy Thiers'a głupstwami (*bétises*). Thiers był typowym parlamentarzystą, przewrotnym karjerowiczem: w r. 1830 oświadczył, że Karol X nie może wrócić do Paryża, bo „rozlał krew ludu", za Ludwika Filipa chciał Thiers wojny i rzucił hasło, że król „panuje lecz nie rządzi", po r. 1870 wygłaszał zdania wyżej przytoczone; a tymczasem: w r. 1871 uśmierzył Komunę za cenę dziesiątków tysięcy śmierci, zostawszy prezydentem republiki chciał rządzić po dyktatorsku, był „konserwatystą" republikańskim na usługach masonerii. W III-ej republice rewolucja została rozłożona na etapy i w r. 1936 doszło do rządu mającego oparcie w komunistach, wielbicielach „komunardów" z 1871 r. Jest to logiczne, inna nie mogła być droga *régime'u*, Tardieu przytacza słowa Briand'a który uchwycił istotę rzeczy stwierdzając: „Za Komuną była republika" (*Derrière la Commune était la République"*). Od chwili swego powstania, które doszło do skutku jako prawdziwy „cios w plecy" po klęsce pod Sedanem, III Republika toczy się „na lewo". Wybór marszałka de Mac-Mahon na prezydenta nie był wyrazem zwycięstwa prądów „prawicowych", autorytatywnych, lecz właśnie przeciwnie: Thiers upadł dlatego, że chciał kierować państwem. Zgromadzenie Narodowe z 1871 — 1878 r. było więcej przywiązane do doktryny parlamentarnej, do rządów zgromadzeń niż do jakichkolwiek innych idei i doktryn; tem się tłomaczy założenie przezeń republiki i zerwanie porozumień z hrabią de Chambord, który chciał ponosić odpowiedzialność za losy Francji i odrzucał koncepcję, w myśl której naczelnik państwu jest tylko *„cochon à l'engrais"*, *„lié comme un saucisson"*.

W pierwszych dziesiąkach lat istnienia III Republiki za probierz lojalności i uzdolnienia do sprawowania władzy uważany był tylko „republikanizm", po umocnieniu się ustroju zaczęto stawiać warunek posiadania „ducha republikańskiego", „szczerości republikańskiej". Oligarchia rządowa starała się rozbić opozycję, nie przestraszając jej i wzywając interwencji wielkich autorytetów moralnych, ale po złudzeniu opozycjonistów, szczególnie po *„ralliement"* do republiki dokonanem pod wpływem Papieża Leona XIII-go, zdjęto maski. W 1893 r. jeden z czołowych przedstawicieli *régime'u*. J.-C. Périer oświadczył: „Nie przechodzi się w randze generała z jednego obozu do drugiego. Trzeba przejść przez okres próby i złożyć zabezpieczenie". Sfery rządowe umieją rzucać hasła syntetyczne, w których demagogia zastępuje prawdę i rozsądek: „Republika dla republikanów!" „Klerykalizm to wróg". „Rewolucja to jeden blok", „Proboszcze — tornister na plecy!",

„Dwieście rodzin rządzi Francją!", „Tydzień 40-sto godzinny!", „Pokój, chleb, wolność!"

W takiej atmosferze oczywiście charaktery się uginają. Narodowe i prawicowe żywioły nie miały i nie mają kierownictwa; wykolejały je hasła „wodza" (gen. Boulenger), „plebiscytu" (Déroulède); parlamentarni szefowie stronnictw narodowych i prawicowych przystosowali się do środowiska, zarówno hr. de Mun, jak Barrés i Louis Marin (o p. Marin, obecnym szefie prawicy narodowo-republikańskiej w parlamencie Tardieu pisze: „Współpraca p. Marin z Herriot'em nie była bardziej moralna od współpracy Bluma z Chautemps'em. W obu wypadkach chodzi o wzięcie władzy i pozostanie przy niej"). Znajdujemy także w książce Tardieu'go aluzję do sprzedawczykostwa, którym się splamił pułk. hr. de la Rocque, opłacany z tajnych funduszów politycznych za odciąganie mas budzących się narodowców od prawdziwie nacjonalistycznych i zdecydowanych na akcję organizacji dawniej założonych. Tardieu stwierdza, że we Francji zapanował pogląd jakoby lewicowcy mieli naturalne prawo do władzy, jakoby mieli hypotekę prawną na stanowiska kierownicze. „Republika polega na zniweczeniu wszystkiego co się jej sprzeciwia", ogłosił Saint-Just za czasów W. rewolucji; III Republika z całą ścisłością stara się usprawiedliwić to określenie. Zdaniem Tardie'ugo winne są za swą klęskę same żywioły narodowe i prawicowe. Żywioły te umieją się nawet skupiać w wielkich organizacjach, ale są armiami złożonymi ze świetnych żołnierzy pod złem dowództwem. Wodzowie i sztaby kierownicze różnych lig patriotycznych zawsze byli pozbawieni doktryny i śmiałości; zamiast doktryny zawracali sobie i towarzyszom głowy pomieszanymi hasłami mistycznymi o zgodzie, zjednoczeniu, współdziałaniu—„*C' est moins que rien*", konstatuje Tardieu.

W demokratycznej, w parlamentarnej republice francuskiej nie ma podziału władz, równowagi ani hierarchii władz, bo jest tylko jedna władza: *le pouvoir parlamentaire* — władza parlamentarna, Nadużycie władzy sprowadza nadużycia *tout court*. Tardieu opisuje w swojej książce niesłychane skandale, które urozmaiciły dzieje III Republiki z taką siłą i otwartością jak to zrobił Leon Daudet w swojej „*Panorama de la III-me République*". Tradycje zepsucia francuskich zgromadzeń ustawodawczych datują się od W. rewolucji; powołując się na studium lewicowego historyka A. Mathiez'a orzeka Tardieu, że „najbardziej zgniłym zgromadzeniem w historii Francji była Konwencja". Nietylko prawdziwy „rząd" nie istnieje we Francji, ale nie istnieje także niezależność sądów, co uwydatnia się tem wyraźniej, im większy jest skandal. Najklasyczniejszymi przykładami poniżenia sądownictwa jest Panama i afera Stawiskiego oraz związana z nią sprawa zamordowania sędziego Prince'a. Wykradanie dokumentów, fałszowanie innych, przeciąganie śledztwa, ułatwianie przestępcom zacierania śladów lub ucieczki, wreszcie skrytobójstwa są nieodłącznie związane „z wymiarem sprawiedliwości", gdy może się on zwrócić przeciw któremuś z wielkich ludzi *régime'u*. Tardieu podkreśla, że skandale finansowo-polityczne są chroniczną chorobą nietylko Francji, ale również innych państw parlamentarnych: dominiów angielskich, samej Anglii, Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej. Skandale są tłumione przez nowe korupcje, fałsze i morderstwa w imię obrony *régime'u*, w imię demokracji. „Na początku, w środku i na końcu wszystkich skandalów, pisze Tardieu jest apel do demokracji". W ostatnim rozdziale swej książki Tardieu przedstawia „pierwsze" konkluzje, dlatego tak nazwane, że całość konkluzji ma być przedstawiona w piątym tomie, który będzie jeszcze poprzedzony przez „*Le sabottage des intêrets généraux*" (III) i „*Le régne du matérialisme*" (IV).

Zdaniem Tardieu'go polityczny *régime* Francji składa się z dwóch przylegających do siebie kłamstw: 1° kłamstwo wolności, równości i suwerenności ludu, omówione w „*Le souverain captif*" i 2° kłamstwo o przedstawicielstwie narodowem, zanalizowane w „*La profession parlamentaire*". We Francji rządzą oligarchie wyborcze (*oligarchies électorales*), po szeregu rewolucji Francja zrobiła jeden rzeczywisty nabytek, którym jest zawód parlamentarny. *Régime* utrzymuje się dlatego, że ogół narodu francuskiego godzi się zawsze z faktycznym stanem rzeczy. Rewolucji dokonywali politykierzy, którzy w III-ej Republice dali statut legalny nieporządkowi i już rewolucji nie potrzebują. Właśnie rewolucja by ich zmiotła i dlatego Tardieu pragnie rewolucji, oczywiście rewolucji narodowej. Tardieu ubolewa, że francuzi mają w polityce przyzwyczajenia, a nie zasady.

Nie ujawniając jeszcze wszystkich swoich konkluzji Tardieu wskazuje w związku z obrazem *régime'u* przedstawionym w dwóch pierwszych tomach jego dzieła, co dłużej trwać nie może. Wypowiada się Tardieu za ogłoszeniem starannie opracowanej konstytucji, zawierającej gwarancje praw obywatelskich i odwołanie od nadużyć organów ustawodawczych. Konieczny jest zdaniem Tardieu'go bezpośredni wpływ ludności na ustawy przez referendum. W stosunku do wyborców jest niedopuszczalne pozbawianie wszelkiego znaczenia mniejszości, która stanowi połowę minus jeden (dodajmy, że III Republika została założona jednym głosem większości), nie można także utrzymać systemu, przy którym ustawy są często dziełem większości parlamentarnych nie przedstawiających 7% narodu. W stosunku do parlamentarzystów, podnosi Tardieu, że nie powinno być dopuszczalne kumulowanie stanowisk z wyboru, że trzeba znieść nieograniczone prawo kandydowania, które każdego wybranego czyni wiecznym kandydatem, że trzeba uniezależnić egzystencję rządów do większości parlamentarnych, odebrać parlamentarzystom inicjatywę w sprawach finansowych i uwolnić administrację od ingerencji z kół parlamentarnych. W stosunku do władzy wykonawczej Tardieu uważa, iż nie można powierzać wyboru naczelnika państwa wyłącznie parlamentowi; naczelnik rządu powinien swobodnie używać prawa rozwiązania parlamentu, rząd powinien mieć prawo apelowania do ogółu ludności, która powinna się wypowiadać przez referendum, *veto*, i w sposób opiniodawczy. W ten sposób zdaniem Tardieu'go usunie się dwa główne nadużycia *régime'u*: wydziedziczenie ludu przez jego wybrańców i przemianę mandatu parlamentarnego na zawód parlamentarny.

(D. n.) LESZEK GEMBARZEWSKI

FAŁSZYWA HISTORIA KULTU MICKIEWICZA

GŁOŚNA była swego czasu rozprawa Szujskiego *Fałszywa historia mistrzynią fałszywej polityki*. Prawdopodobnie nie jednego z historyków dzisiejszych korci również, by napisać podobną rzecz, tylko pod odwróconym tytułem: „Fałszywa polityka mistrzynią fałszywej historii". Sądzić bowiem wolno, że zjawisko objęte tym tytułem jest szeroko rozpowszechnione, a znacznie chyba groźniejsze od tamtego, które sprawiało zmartwienie Szujskiemu.

Inwazja polityki w historię czasów współczesnych, wczorajszych i przedwczorajszych, spustoszenie, jakiego tam narobiła zaciekłość i stronniczość partyjna, są tak wielkie i groźne, że człowiek postronny, jako tako świadomy „prawdziwej prawdy", gotów popaść w głęboki sceptycyzm. Jeżeli to tak zawsze pisało się historie czasów swoich, jeżeli zawsze historycy — według wyrażenia jednego z nich—tak stawiali przed sobą Prawdę na baczność, zamiast przed nią na baczność stanąć—to dalibóg biedna jest ta prawda historyczna. „Zajeździmy kobyłę historii!" — powiadał niedawno rewolucyjny poeta rosyjski. Jakoż rozdziera nam uszy krzyk tych rozswawolonych woźniców, trzaski batów, którymi smagają grzbiet sfatygowanej już mocno kobyły. Lęk i litość przejmuje widzów:—czyżby rzeczywiście dała się zajeździć?

Cóż się to stało z niedawnym, przez poetę wystawionym ideałem historyka:

> Nad burze namiętności, interesu sieci,
> Z pomroków ducha czasu nad gwiazdy wyleci...

Dzisiejsza Klio ma wśród swych zaciężnych sług sporo takich, co właśnie w „burzach namiętności", w „sieciach interesu" i koniunktury, w „pomrokach ducha czasu" nurzają się radzi i tam czują się najlepiej. Nad gwiazdy im jakoś nie skoro.

Refleksje takie cisną się pod pióro także przy lekturze książki, która i przez temat swój i przez przynależność do uniwersyteckiej serii „Badania Literackie"—mniej niż którakolwiek inna winnaby do nich pobudzać. Mowa o książce przedstawiającej dzieje kultu Mickiewicza w ciągu jednego dziesięciolecia ze schyłku w. XIX [1]). Czasy stosunkowo niedawne; żyją jeszcze ludzie, co je pamiętają z autopsji, co uczestniczyli w tamtych wypadkach. Zdawałoby się, że historyk nawet mniej skrupulatny namyśli się dobrze, zanim zacznie „zajeżdżać" tę właśnie kobyłę. Przecież mogą się zgłosić świadkowie, którzy mu do oczu powiedzą, że poczyna sobie zdrożnie. Częstokroć zresztą nie trzeba nawet świadków naocznych, wystarczą pamiętne jeszcze świadectwa pisane. Niemniej ujeżdżacz zaryzykował. Książka, o której parę słów wypadło tu powiedzieć, należy niestety do takich „historii" wątpliwego autoramentu.

Autor wyszedł ze spostrzeżenia słusznego. W dziejach kultu Mickiewicza lata 1890 — 98 rzeczywiście należą do szczytowych. Nigdy, ani przedtem, ani potem rola Mickiewicza w kształtowaniu ideałów przewodnich narodu nie była tak przeważna, kult jego nie był tak intensywny, jak w owych właśnie latach. Zjawisko samo kultu poety i ten wycinek dziejów tego kultu aż się prosi pod pióro historyka. Tylko czy aby tego właśnie? Wątpliwość poweźmie, kto po kilku stronicach przeczytanych zorientuje się, jak autor dzieła bez oporu dał się porwać owoczesnej „burzy namiętności" radykalnie socjalistycznych, jak nie potrafił się zdobyć na bezstronność, jak oczyma pasją przesłoniętymi nie umiał dostrzec prawdziwego przebiegu historii. Jest to książka pisana *cum studio*, niedokładna, nieścisła, niesprawiedliwa i często gęsto stronniczo fałszywa.

Brak tu miejsca by zdać sprawę z całego dzieła p. Kawyna, omówić spełna jego zawartość, pokazać wszystkie (liczne) defekty i (mniej liczne) zalety. Trzeba się więc ograniczyć do częściowego choćby uzasadnienia głównych zarzutów.

Książka niedokładna i nieścisła. Oto przykład: Obejmuje ona tematycznie czas od sprowadzenia prochów Mickiewicza do stulecia jego urodzin, ale w rozdziałach początkowych, kreśląc stosunek młodego pokolenia do ideologii Mickiewicza, sięga i wstecz, dotyka wcześniejszych stosunków w kraju i na emigracji. Otóż zarys ten wykazuje przykreluki: o młodzieży np. zaboru pruskiego nie wspomniano tam ani słówkiem. Historyk kultu Mickiewicza zdaje się nie wiedzieć nic o filomatach pomorskich. Zapewne, głośni stali się oni dopiero z powodu procesu 1901 r., ale działalność kółek sięga 1840 r., rozwinęła się zaś szczególnie silnie z początkiem czwartej ćwierci w. XIX. Wówczas to już „Mickiewicz,— pisze historyk — jego życie i dzieła stały się prawdziwą szkołą narodową młodzieży pomorskiej" [2]). W książce p. Kawyna o całym tym szerokim ruchu głucho, jakby go nie było.

Ale co tam sięgać aż na Pomorze! Przecież nawet w sprawach najbliżej sobie znanych, galicyjskich, nie ustrzegł się autor przeoczeń. Pierwszym ogniskiem jego zainteresowań jest, jak wiadomo, sprawa sprowadzenia zwłok A. Mickiewicza 1890 r. Ale za mało wie on zaraz o rozpalaniu tego ogniska. Czytelnik jego nie dowie się np., kto był właściwym inicjatorem pogrzebu wawelskiego, choć bez trudu można to było stwierdzić w *Książce pamiątkowej* (1890), a choćby przy pomocy artykułu J. Kleczyńskiego [3]).

Co gorsza, zbyt lakonicznie i bałamutnie przedstawił autor rolę najważniejszego w tej sprawie motoru: młodzieży akademickiej krakowskiej. Pominął milczeniem prace i zasługi Czytelni Akademickiej im. A. Mickiewicza, inicjatorki odrębnego Komitetu dla tej sprawy, i głównej w Komitecie tym sprężyny. Nie wpadł mu, zdaje się, w rękę organ tej Czytelni *Ognisko* (1889 r.); inaczej nie mógłby przecież pominąć np. pamiętnego przemówienia prezesa Czytelni, Fr. Nowickiego. W historii oddziaływania Mickiewicza na młodzież owych czasów jest to przecież świadectwo jedno

---

[1]) St. Kawyn. „Ideologia stronnictw politycznych w Polsce wobec Mickiewicza, 1890—1898". Lwów 1937. „Badania Literackie" t. X).

[2]) J. Karnowski. „Filomaci Pomorscy". Toruń 1926, s. 8.

[3]) „Czas" 1890, nr. 151, art. „*Suum cuique*". Był nim najpierw prezydent miasta J. Dietl (1869), a ponownie (1883) prof. Uniw. Jag. M. Bochenek.

z najznamienniejszych. O Czytelni tej, o jej mickiewiczowskiej atmosferze czekaliśmy wiadomości tym ciekawiej, że jest to środowisko, w którym szukać należy pierwszych podniet zarówno dla *Legionu* Wyspiańskiego [4]) jak i dla *Monsalvatu* A. Górskiego, t. zn. w dziejach kultu Mickiewicza pozycji właśnie co najwyższych. Czekaliśmy napróżno. Dość tego, by się zgodzić, że postawiony książce zarzut niedokładności i nieścisłości jest uzasadniony.

Książka bywa następnie niesprawiedliwa. Tutaj także z przykładów, które się cisną pod pióro, trzeba wybrać niektóre jedynie. Autor, jak to czytelnik zapewne już się domyśla, zmierza wyraźnie do wykazania, że w budzeniu ducha narodowego, w organizowaniu „woli do wolności“ w ostatnim ćwierćwieczu przedwojennym zasługa przypada wyłącznie jednemu tylko ugrupowaniu, socjalistom, nieledwie jednej osobistości. W zelotyzmie swym niepomiarkowanym przesadza jednak tęgo, a w rezultacie chybia celu. Cóż to bowiem za zasługa, dla której, żeby zajaśniała, trzeba wpierw wszystko naokół sponiewierać i zbezcześcić?

W tym poniewieraniu autor jest szczodry. Główną pasję wyładowuje przede wszystkim (zresztą nie bez racji) na ugodowców. Ale nie zadowala się tym, i wszystko wogóle, co mu się nie mieści w ramach owoczesnego ostrego radykalizmu, odsądza od czci i wiary narodowej. Naprzykład: w przemówieniu wawelskim Asnyka (1890) słyszy „jakiś minimalizm żądań, graniczący niemal z rezygnacją“, dostrzega „coś jakby cień optymizmu niewolnika” i t. p. Tymczasem nieuprzedzone ucho słyszeć tam musiało np. porównanie Mickiewicza do słupa ognistego (prowadzącego naturalnie do ziemi wolności), to znów słowa o przyszłej Polsce, którą „sąd ostateczny dziejów w nowe ciało ubierze” i t.p. Dość chyba wyraźnie. To miał być „minimalizm” poety i jego „rezygnacja”, oraz „optymizm niewolnika”. Trzeba doprawdy swoistej odwagi „historyka”, żeby sąd taki o Asnyku zaryzykować.

Albo drugi przykład: Na uroczystości 1890 r. napisała Jadwiga z Łobzowa (Zubrzycka) broszurę dla ludu. W niej m. in. powiedziała: „Chwała Bogu i dzięki dobrym ludziom, każdy człowiek w Krakowie, we Lwowie i w całej Galicji może... mówić swoim rodzinnym językiem...” Zaciekły tropiciel ugodowości dosłuchał się w tych słowach „wyraźnej chyba pochwały tej rzekomej wolności, którą darzyły rządy austriackie Galicję” i osądził to jako „zaiste robotę czarno-żółtą”. Jadwigę z Łobzowa pamiętamy jako niestrudzoną pisarkę dla ludu, zasłużoną nauczycielkę prawego patriotyzmu. Nie spodziewała się zapewne, że w wolnej Polsce na jej zapadły już grób z lekkiej ręki „historyka” padnie taki potwornie ciężki kamień. Kto zdaje sobie sprawę z wagi słów, bez trudu określi właściwym terminem przytoczony sąd autora. Sądów zaś tak dziko niesprawiedliwych jest więcej w omawianej książce.

Książka wreszcie, w niektórych przynajmniej częściach, przynosi przedstawienie sprawy błędne: już to płytkie, już też wręcz stronniczo fałszywe. Znowu jeden przykład musi tu wystarczyć za wiele: sprawa pomnika Mickiewicza w Warszawie r. 1898. Omówieniu jej poświęcił autor całe cztery rozdziały.

Że pozwolenie na ten pomnik było zdobyczą ugodowców, na to zgoda. Że zarazem stał się on z różnych racyj widomym znakiem ich upadku, — to też prawda. Jak dotąd jesteśmy w zgodzie z autorem w interpretacji zdarzeń historycznych. Ale różnić się zaczynamy, i to gruntownie, tam, gdzie przechodzi on do przedstawienia stanowisk obu młodych podówczas stronnictw: P. P. S i N. D. wobec sprawy pomnika. W jednym i drugim wypadku autor ujmuje rzecz błędnie.

Fałszywie przedstawia stanowisko P. P. S. i Piłsudskiego. Jego zdaniem Piłsudski (w imieniu Centr. Komitetu Rob.) występował „ostro przeciw projektowi pomnika Mickiewicza” (str. 113). Tymczasem, mówiąc po prostu, jest to wierutna bajka. Piłsudski, bowiem biorąc pod uwagę legalny charakter obchodu i narzucone mu przez rząd rosyjski ciasne ramy, był przeciwny udziałowi robotników-socjalistów w oficjalnym, uroczystym odsłonięciu pomnika, ale sam obchód nazwał „uroczystą chwilą” i organizował robotników do osobnego hołdu poecie. Był przeciwny t a k i e m u o b c h o d o w i, ale przecież nie p r o j e k t o w i p o m n i k a. Zapowiadał więc w *Robotniku*: „Na uroczystość odsłonięcia pomnika stawimy się wszyscy, z żonami i dziećmi, cała Warszawa wylegnie na Krakowskie-Przedmieście i żadne kordony nas nie wstrzymają, choćby nawet krew polać się miała” [5]). To jasne. Redaktor *Robotnika* zmierzał więc do tego, by uroczystość wypadła jak najokazalej, ale by rozerwała i odrzuciła ramy narzucone przez rząd, by się odbyła poza legalnością i wbrew legalności.

Stronnictwo Narodowo Demokratyczne natomiast stanęło na innym stanowisku: Rząd z takich czy owakich względów zgodził się na uroczystość; wycofywał się wprawdzie potem i zgodę swą ograniczał, ale jej nie cofnął, wobec wyraźnej decyzji cara cofnąć jej nie mógł. Należy więc—uważano—skorzystać z tego jego przymusowego położenia i zorganizować obchód jużcić w ramach legalności, ale także wbrew intencji legalistów; nadać mu charakter dla rządu rosyjskiego jak najdotkliwiej niepożądany, ale tak, żeby on wobec faktu był bezsilny.

„Pozwolenie na pomnik—pisano [6])—jest zwykłym szwindlem urządzonym przez Imeretyńskiego dla przygotowania carowi pożądanego przyjęcia w Warszawie... Nas to wszakże do niczego nie obowiązuje. Zapłaciliśmy dość drogo za ten pomnik, bo czasowym ogłupieniem ogromnej części społeczeństwa, i musimy to sobie względnie powetować, choć przez uświetnienie uroczystości odsłonięcia jak największą liczbą obecnych. Pomnik jest dozwolony; odsłonięcie jego również, nikt więc nie wytłumaczy społeczeństwu, że przyjazd do Warszawy na tę uroczystość może być niedozwolony“...

Krótko mówiąc, stwierdzano, że Imeretyński jest we wnyku i pokpiwając zeń, nie zamierzano ułatwiać mu wyjścia stamtąd. Kiedy straszył ściąganiem wojska, nazwano to „ośmieszaniem się“ i żartowano: ściągaj zdrów!

Wiadomo zaś doskonale było, gdzie najdotkliwiej ugodzić politykę rządu rosyjskiego w Polsce: oto

[4]) Mówi o tym interesująco St. Estreicher w swych wspomnieniach o Wyspiańskim.

[5]) „Pisma zbiorowe“, 1937, I 237.

[6]) „Przegląd Wszechpolski“, 1898, nr. 24.

okazując mu fiasko jego najprzewrotniejszych zamysłów w stosunku do wsi. Przecież od czasów uwłaszczenia rząd carski wysilił całą swą chytrość, by skaptować sobie chłopa, podjudzić go przeciw szlachcie i odciągnąć od Polski jako od sprawy „pańskiej". T. T. Jeż w broszurze *O obronie czynnej* pokazał to jak na dłoni. Stronnictwo Narodowo Demokratyczne, które właśnie troskę o narodowe uświadomienie wsi położyło za kamień węgielny swej działalności, postanowiło skorzystać z uroczystości mickiewiczowskiej, by spowodować jaknajwiększy udział chłopów.

„Rozumna polityka—pisano wówczas [7])—nakazywała zużytkować piękną sposobność zgromadzenia mas ludowych na jednym miejscu dla pogłębienia w nich poczucia jedności i siły, i zamanifestowania nazewnątrz nastroju wśród nich panującego. Należało mądrą taktyką i wstrzemięźliwością w słowie... zmusić wrogi rząd i tchórzliwy Komitet pomnikowy do patrzenia na wielką manifestację mas". Zamysł, jak widać, od socjalistycznego zgoła różny. Ale komuż przyjdzie na myśl osądzić najcudaczniej, że zamysł to... ugodowy?

Zastosowawszy tedy w jednej sprawie tak odmienne taktyki, stronnictwa oba, rzecz jasna, patrzyły na siebie okiem nieprzyjaznym, ostro się nawzajem zwalczały. Narodowi demokraci mieli za złe socjalistom warcholstwo. „Zamiast połączyć się—pisali—z urzędową uroczystością i zamienić ją w to, czem jej nie chciały mieć ani władze ani Komitet,—socialiści... zapowiedzieli swą specjalną uroczystość i w jakie cztery godziny po poświęceniu pomnika pokazali Warszawie u jego podnóża... około 150 ludzi".

Socjaliści natomiast w ferworze walki rzucili w stronę przeciwnika obelżywy zarzut ugodowości. Owe słowa o wojsku wyinterpretowano tak, jakoby wszechpolacy usprawiedliwiali Imeretyńskiego, że konsygnuje w mieście wojsko na dzień uroczystości. Był to zarzut równie jadowity jak niesłuszny.

Co innego jednak ferwor walki, a co innego ścisłość naukowa. Jest właśnie zadaniem historyka, żeby pod przejściową pianą namiętności umiał zgruntować rzeczywistość i wydobywać na jaw istną prawdę dziejów. Tymczasem autor omawianej książki prawdy tej nie widzi, nie odsłania. Piana mu wystarcza. Nie wyczuwa, że co wolno zapalczywemu agitatorowi czy publicyście, tego nie wolno historykowi. Lekkim sercem więc powtarza za *Robotnikiem* i podtrzymuje zarzut „legalizmu" i ugodowości, i nic poza nim nie widzi. Zdaje się mniemać, że narodowi demokraci rzeczywiście doradzali Imeretyńskiemu by skonsygnował na czas obchodu jak najwięcej wojska przeciwko patriotycznej Warszawie.

Jeżeli się w ten sposób „dowiedzie", że pod patronat Mickiewicza w tamtym pokoleniu cisnęli się przeważnie ugodowcy, że jedynymi szczerymi jego wyznawcami byli socjaliści, — ładna w rezultacie wyniknie z tego historia kultu! Podziwiać zaiste należy „naukową bezstronność" jej autora.

Nie w tym jednym zresztą wypadku; taka to już widać metoda badania i dowodzenia. Ona to np. podyktowała autorowi odkrycie naukowe, że „socjaliści polscy jedyni reprezentowali w tym czasie (ok. 1898 r.) hasło walki z zaborcą" (s. 128). Oczywiście, wszystko naokół było ugodowe, spodlone, spróchniałe, plugawe; — żeby na tym tle mógł zabłysnąć Jeden tylko zasłużony. W krótkowidztwie adoracji nie dostrzega jednak autor, że—jak się już rzekło—wątpliwa to przecież wielkość i zasługa, którą wśród takiego ogólnego poniżenia dopiero trzeba ustawiać, żeby się jako tako wyróżniła.

Dotknęliśmy w ten sposób zjawiska ogólniejszego. Rozprawiano u nas ostatnio dość wiele o megalomanii narodowej, grasującej jakoby nadmiernie a szkodliwie w plemieniu polskim. Oglądając atoli takie zjawiska, jak omówione wyżej, a bynajmniej przecież nie odosobnione, — gotowiśmy mniemać, że częściej niż megalomania występuje u nas raczej mikromania narodowa, dążność do zniesławiania niedawnej przeszłości. Wbrew prawdzie i z obojętnością na krzywdę rzuca się na prądy, ludzi i epoki potworne oskarżenia i zniesławia się je przed historią. Kto tu daje impuls? W czyim to leży interesie? Komu to takie „zajeżdżanie kobyły" wychodzi na dobre? Niech to już sobie czuły słuchacz w duszy swej dośpiewa.

Chciałoby się wierzyć, że objaw to patologiczny i że przecie kiedyś się skończy.

STANISŁAW PIGOŃ

[7]) „Przegląd Wszechpolski", 1899, nr. 1.

OTO CZŁOWIEK...

Więc mnie już dobij—dobij! Rozdeptaj jak jagodę!
Odrzyj mnie ze wszystkiego co żywe i co młode!
Krwi wytocz sok czerwony, niech pobieleję wszystka
a potem rzuć mnie jeszcze w syczący war mrowiska!

...Tam już owad do reszty oczyści mnie z człowieka...

Potem pełnia poleje płynnem wapnem srebra
kościec mój—próżną klatkę o przewiewnych przęsłach.
W gwiazd się ciszę zapatrzy oczu pustka wklęsła
i gwiazd ciszę wysoko martwe wetchną żebra...

...Jak krzak uschnięty będę, którym się wiatr przewleka.

Tedy mnie skończ! Miast buntu co serce mi rozrywa
w kości wplątana trawa pokłonem niech uderzy!
Niech zadymi radosna a bezgrzeszna a żywa
kwietnym kurzem na wietrze rozpylanych pacierzy...

Oto człowiek zmiażdżony padł w proch i w prochu leży...

BEATA OBERTYŃSKA

NA WIDOWNI

Święta domu—rodziny i dzieci. — Człowiek i dziecko.— Tylko dziecka przywilejem egoizm. — Szczęście ludzkie polega na dawaniu.

JEST teraz bardzo w modzie organizować przeróżne święta — kwiatów, lasu, matki, dziecka niemal konia i buraka niczem w dekadach rewolucji francuskiej; a tymczasem wystarczy napewno trzymać się tylko tych jakie nam spuścizna naszej katolickiej cywilizacji przekazała. Przecież świąt nie brakuje i każde z nich ma inną wymowę i inny morał. A treść ich jest bardzo głęboka i bardzo wiele one uczą.

Tylko, że nie zawsze chce się o tym myśleć i pamiętać. Święta Bożego Narodzenia, to dla wielu tylko „rybka" i możność uraczenia się alkoholami przy jarzącej się od świeczek choince. A zresztą coraz częściej i tego nawet brakuje. Moda każe na święta wyjeżdżać. Zamiast uroczystego nastroju wilji i wzruszającego łamania się opłatkiem—mamy wtedy flirt przy *table d'hote*'cie i bezduszne zimno hotelowych pokoi. I nie jest to wcale takie nieszkodliwe coś, co może bez śladu minie. Nie — to smutny i przykry wyraz zmanierowanej myśli i katastrofalna w skutkach ucieczka od rodziny, domu i dzieci.

Atmosferą bowiem istotną świąt Bożego Narodzenia jest właśnie—rodzina, dom i dzieci. Tego te święta wymagają i w tych tylko ramach są pełne. To ich istotna treść: — dom, choćby taki skromny jak ta betlejemska stajenka, w której schronienie znalazła Przenajświętsza Rodzina.

To też żadne może ze świąt nie ma tyle uroku i czaru, co to zimowe święto ciepła, uczucia i pamiętania. Mroźna noc z gwiazdką na niebie,— z tą pierwszą gwiazdką, której się tak niecierpliwie w dzieciństwie upatrywało; bajka zimowa pozamarzanych w kwiaty i paprocie okien—jasne światło choinki i miłe ciepło dobrego domu. Jakież to wszystko bliskie, kochane i takie w potrzebach naprawdę ludzkiego serca nieprzemijające i stałe.

Bo na to co ludzkie nie może być mody. Jest człowiek nowoczesny i staroświecki, ale jest poprostu i **człowiek**. Ten zawsze żyje całą pełnią i ten ma zawsze te same potrzeby. I mogą przeminąć przeróżne zwyczaje, odmienić się tysiączne mody, ale choinki napewno będą się zawsze zapalały i zawsze ludzie będą przełamywać się opłatkiem,—dopóty przynajmniej, dopóki będą na świecie dzieci, a w duszach naszych nieodparta potrzeba powiedzenia czasem komuś z całego serca—wszystkiego najlepszego.

Więc to są dwa nieśmiertelne elementy świąt Bożego Narodzenia — ciągłość ludzkich pokoleń i wzajemna troska o swoje losy. Potrzeba skupienia się około jakiegoś gniazda, około miejsc i osób, które przenigdy nie zawiodą. I potrzeba życia dla kogoś—wzbogacenia swojej jaźni jakąś wielką troską o coś inne, o coś poza mną, a co mnie przeżyje i o grobie moim pamiętać będzie.

Czasy dzisiejsze są czasami egoizmu i stąd ta ucieczka od choinek i wilji. Ale zapominamy o tym, że przekorne szczęście przychodzi do nas tylko wtedy, gdy w serdecznej miłości gotowi jesteśmy się nawet go wyrzec, gdy z całą pokorą powiadamy—nie dla siebie. I ucieczka od obowiązków jest zawsze i nieodmiennie ucieczką od smaku życia i jego radości. Człowiek obowiązki mieć musi, — może ich nie mieć tylko dziecko. A pozostanie dzieckiem przez całe życie, może się wprawdzie niejednemu uśmiechać — ale naprawdę jest niegodnem wyrzeczeniem się życia i jakąś tragifarsą niesmaczną i poziomą.

W normalnej losów kolei—życie trzeba przeżyć. Trzeba więc być kolejno i w swojej porze dzieckiem i człowiekiem. To prawo jest nieubłagane, bo jest mądre i konieczne, Dusza nie może zostać w karłowatym stanie. Coś co jest piękne i zabawne u jakiegoś malca — w ustach dorosłego staje się błazenadą i nonsensem. A znamieniem kultury jest rzetelność — nie dźwigną więc jej stare dzieci.

I choinka to prawo życia zachowuje. Z małych lat pamiętamy owe cudowne chwile, gdy otwierano zamknięte drzwi salonu i za rączkę wprowadzano nas pod jasną choinkę i drżącym z niecierpliwości dawano zabawki i prezenty. Naszym jedynym obowiązkiem było wtedy cieszyć się beztrosko i radośnie dziękować Rodzicom, a w końcu usnąć późnym wieczorem z duszą po brzegi przepełnioną wdzięcznością. Ale gdy lata przeszły, święta zaczęły być wspólne i prezenty dawane sobie wzajemnie. A jeszcze parę lat i my jak nasi Rodzice cieszyć się będziemy przede wszystkim szczęściem dawania. I wtedy cykl jeden się zamknie, by po nim nastąpił drugi.

Bo szczęście dziecka polega na radosnym przyjmowaniu, ale—człowieka na dawaniu. I tylko jak uczy ewangelia: „kto daje, bierze", a także i ten tylko otrzyma, kto już ma. Kto chce jedynie brać, widać jeszcze dzieckiem pozostał i oby tylko łzy i niedole nie nauczyły go zbyt rychło owej tragicznej pomyłki opóźnienia.

Zrozuminy głęboki sens choinki, że radość godna człowieka musi być aktywną, musi być owocem własnego trudu, własnej ofiary. Coś co przychodzi łatwo z poza nas — może nam dać jedynie krótką dziecinną radość, o ile my sami nie wyjdziemy temu naprzeciw jakimś swym trudem. Nie wystarczy bowiem tylko przyjąc—trzeba jeszcze zawsze odpłacić. I choć jest obowiązkiem tego, co daje, nie myśleć o tej odpłacie i umieć dawać bez końca — to lichym i dogłębnie miernym będzie ten, co za prawo swoje uzna jedynie branie. To jest wprawdzie wygodne, ale i niegodne. A wygodne zresztą także tylko do czasu.

A dzisiejszym właśnie dramatem jest to, że coraz więcej ludzi potrafi jedynie — brać. Nic też dziwnego, że epoka jest mała i że ci mali ludzie na gwałt chcą się w czemś zagubić. Bo to są dzieci, bezradne dzieci potrzebujące opieki. Ale przecież chcąc czegoś i chcąc prawdziwego szczęścia—nie można się cofać przed ofiarą ani przed wyrzeczeniem się siebie.

I wracając jeszcze raz do świątecznych wskazówek: Pan Jezus przyszedł tu na ziemię — dla ofiary, a szczęście obiecał tylko tym, którzy pójdą jego drogą. Morał wyraźny i prosty.

KAROL STEFAN FRYCZ

GŁOSY

PATRZEĆ NA PALCE!

NIEDAWNO odwiedził Polskę i konferował. Nazywa się Landsbury, a jest posłem do angielskiej Izby Gmin z ramienia socjalistycznej *Labour Party*.

Landsbury należy do najbardziej aktywnych maniaków pacyfistycznych. Ma pieniądze (skąd?), no i jeździ sobie po świecie zakładając „ambasady pojednania", czyli nowe ekspozytury lóż. Obok *Rotary* klubów, obok rozmaitych Lig Obrony Człowieka i Obywatela będą to nowe placówki masonerii, wcale nawet groźne, bo działające wśród osób najwyżej postawionych, t. zw. sfer decydujących czyli rządzących.

Ideologia „ambasad pojednania" oparta jest całkowicie na światopoglądzie materialistycznym, a jej ujęcie przez p. Landsbury tak śmiesznie naiwne, a tak jednocześnie ciekawe, że warto się z nim zapoznać.

Cytujemy wyjątek z wywiadu udzielonego krakowskiemu „Kurierowi Illustrowanemu".

Mówi Landsbury:

„Jesteśmy organizacją międzynarodowych pacyfistów należących do rozmaitych kościołów chrześcijańskich. Mamy wielu wyznawców na terenie amerykańskim, ale i w Europie zakładamy coraz więcej naszych placówek, których miano jest „ambasady pojednania".

— Jaką drogą zamierza ta instytucja osiągnąć to pojednanie?

— Drogą odbudowy sprawiedliwości i równości ekonomicznej między narodami.

Wierzymy w to, że ludzie będą dla siebie przyjaźniej i bardziej pokojowo usposobieni, o ile będzie im się lepiej powodziło. Ten dobrobyt zaś można osiągnąć przez usunięcie wszelkich przeszkód. Aby to zaś osiągnąć, należy stopniowo oczywiście rozbrajać się"

Doskonałe jest owo „oczywiście".

Widać jasno, jak na dłoni, co jest celem akcji p. Landsbury. Charakter wcale niedwuznaczny, bo sekciarski, a więc nie tylko żołnierz ma tu coś do powiedzenia, ale i ksiądz. A trzeba powiedzieć, nawet krzyknąć ostro. Przede wszystkim zaś rozmaitym takim apostołom, mniejsza maniakom czy cynicznym emisariuszom patrzeć na palce. Z całą uwagą.

JENUKIDZE, KARACHAN I INNI...

W Sowietach nowa partia roztrzelanych... Sztajgier, Orachelaszwili, Lurie — Łarin, Szeboldajew, Miatelow oraz Cukierman a przede wszystkim Jenukidze, b. sekretarz Centralnego Komitetu Wykonawczego ZSRR oraz Karachan, b. poseł w Warszawie, b. ambasador w Chinach, ambasador w Turcji. Stara, czerwona gwardia bolszewicka *pod stienku* i do grobu.

Nazwiska powyższe i tamte, poprzednio już straconych, toż to cała historia wielkiej rosyjskiej rewolucji z jej najbardziej heroicznego okresu. To mit, którym karmiono cały świat, przygotowując teren dla powszechnej rewolucji, to próby ucieleśniania fantazji zapalenia Dalekiego Wschodu, czemu przeszkodził prawdziwy Chińczyk Czang-Kai-Szek, przepędzany z kolei z granic własnej ojczyzny przez zaborczą Japonię.

Stalin grzebie nie tylko przywódców rewolucji, ale i samą rewolucję, jej sławę, jej legendę. Bo gdyby wyroki głosiły jedynie winę przeciwstawiania się obecnej dyktaturze Kremla! Ale wyroki skazują „...za zdradę główną, systematyczne szpiegostwo na rzecz jednego z mocarstw obcych..." i jeszcze do tego mocarstw o strukturze i tendencjach na wskroś faszystowskich.

Wyzyskać, zabić a potym oplwać — bardzo to wszystko w duchu nowej etyki, bardzo po bolszewicku. W postępowaniu Stalina jest coś reprezentatywnego dla zdobyczy kulturalnych, za które wiele milionów oddało życie. Czyż w gruncie rzeczy zmiana dokonana w roku 1917-go nie znalazła odbicia doskonałego w zaniechaniu salutowania zmarłych? Czyż w masowych egzekucjach oplwanych przed tym ofiar nie ma skondensowanej całej filozofii materialistycznej? Czyż w pogrzebach towarzyszów Jenukidze, Karachana, wszystkich straconych poprzednio oraz wszystkich, którzy po nich dadzą głowę nie ma zaprzeczenia istnienia duszy, najwyższej dla tej „fikcji" pogardy?

Mówią, że dzięki posunięciom Stalina, w granicach ZSRR powstaje znowu Rosja. Tak jest — Rosja, ale bolszewicka.

Nie dajmy się łudzić. Ani przez chwilę.

FORTUNA KOŁEM SIĘ TOCZY

Agencja Prasowa Antykomunistyczna (A.P.A.) podaje na podstawie głosów prasy zagranicznej następujące, jakże wymowne dane o zmiennych losach twórców sowieckiego państwa w Rosji:

Rada Komisarzy Ludowych z d. 7 listopada 1917 r.

Przewodniczący: Lenin—umarł.
Zastępca przew. i spraw wewn.: Rykow — uwięziony.
Spr. zagr.: Trocki—wygnany.
Rolnictwo: Miljutin—złożony z godności.
Praca: Szljapnikow—uwięziony.
Wojsko i flota: Antonow Owsiejenko—złożony z godności.
Dybienko, generał.
Handel: Nogin—popełnił samobójstwo.
Oświata: Łunaczarski—umarł.
Finanse: Skworcow-Stefanow — umarł w zapomnieniu.
Sprawiedliwość: Opokow-Łomow — złożony z godności.
Wyżywienie: Teodorowicz — złożony z godności.
Poczta: Awitow-Glebow —złożony z godności.
Narodowości: Stalin—dyktator.

Polityczne Biuro Partii z d. 7 listopada 1917 r.

Lenin—umarł.
Stalin—dyktator.
Trocki—wygnany.
Zinowiew—rozstrzelany.
Kamieniew—rozstrzelany.
Sokolnikow—uwięziony.
Bubnow—złożony z godności.

Wojskowy Komitet Rewolucyjny Sowietów w 1917 r.

Trocki—wygnany.
Swierdłow—zamordowany.
Urycki—zamordowany.

Podwojski — małe stanowisko w organizacji sportu.
Antonow-Owsiejenko—złożony z urzędu.
Dybienko—generał.

Prezydium Kongresu Sowietów z d. 7 listopada 1917 r.

Lenin—umarł.
Trocki—wygnany.
Zinowiew—rozstrzelany.
Kamieniew—rozstrzelany.
Rykow—uwięziony.
Nogin—popełnił samobójstwo.
Muronow—rozstrzelany.
Skliański—złożony z godności.
Krylenko—złożony z godności.
Antonow-Owsiejenko—złożony z godności.
Rjazanow—umarł w więzieniu.
Łunaczarski—umarł.
Swierdłow—zamordowany.
Stuczka—złożony z godności.
Kołłontay—posłanka w Norwegii.

Wiedzieliśmy zdawna o tym, że rewolucja pożera swe dzieci, ale ażeby aż tak doszczętnie? Świeżo tego dowiodły masowe egzekucje dokonywane w lochach Łubianki w Moskwie na odwoływanych masowo z zagranicznych placówek dygnitarzach „*Narkomindiełu*“ (sowieckie M. S. Z.)

Czyż można przypuścić, że istotnie wszyscy ci nieszczęśnicy tak jak zeznawali w przedśmiertnej „skrusze socjalistycznej” uwikłali się w zdradę i szpiegostwo, w stosunki z „Gestapo“ i z Japończykami jednocześnie? Sądzić raczej należy, że „czystka“: zastępowanie zużytego, niepotrzebnego materiału ludzkiego nowym, czekającym oddawna kolejnej porcji — ma tutaj podłoże zupełnie nieskomplikowane. Daleko łatwiej przecież, miast płacić emerytury i pensje, przywiązane do orderów za wysługę lat— „zlikwidować“ zbytecznego człowieka, nie obciążając budżetu zupełnie nieproduktywnym wydatkiem.

Psychologia pomysłu ta sama, co np —w słynnych transportach chorych więźniów obozów koncentracyjnych—transportach, dokonywanych podczas silnych mrozów w nieopalanych wagonach bydlęcych, o czym tak wymownie pisze Sołoniewicz w swych wstrząsających wspomnieniach „*Rassija w Koncłagerie*“. Efekt i tutaj był niezawodny: trupy niezdatnych już do pracy w „socjalistycznym budownictwie“ inwalidów obsługa transportu układała sągami wzdłuż toru, znacząc setki kilometrów przebytych przestrzeni.

NAUKA I LITERATURA

JESTEM POLAKIEM

MŁODY, dwudziesto-pięcioletni poeta, Edmund Osmańczyk, urodzony na Śląsku Dolnym w pow. strzelińskim, jak pisze sam na wstępie, wydał tomik poezyj p. t. „Wolność jest słoneczna”.[1]) Zawsze ze wzruszeniem słuchamy Polaków z zagranicy, zwłaszcza stamtąd, gdzie mają dawne tradycje, gdzie tworzą silną społeczność, a mimo prześladowań nie tracą spójni duchowej z Ojczyzną i dążą do zwycięstwa polskości na obszarach dawnych ziem Rzeczypospolitej.

Z wierszy Osmańczyka bije zapał bojownika o polskość. Jest to niewątpliwie romantyzm, tak w wielkości naczelnych idej, jak i w słowach nie dobieranych, ale szczerych i pełnych wzruszenia, a przeto budzących silny oddźwięk.

Jest to romantyzm typu Mickiewicza, zjawisko kresowo-polskie, wykwit emigracji albo niewoli, ten romantyzm, który rodzi się zawsze w szlachetnej duszy młodego Polaka wobec zalewu obczyzny. Uczucie bezbrzeżnego patriotyzmu, dążącego do wyzwolenia. Nadzieja wbrew nadziei, która w zmaganiach narodów nieraz zwycięża. Mierzenie sił na zamiary, czego wymaga bezlitosna walka przez pokolenia dwóch zbiorowych ciał i dusz.

W egzaltacji poetyckiej ta walka przedstawia się malowniczo, sugestywnie — w syntetycznej wizji bohaterstwa. W obecnym okresie polskiego życia, kiedy dolega nam jeszcze młodszość cywilizacyjna wobec starych mocarstw europejskich, jesteśmy skłonni tę młodszość cywilizacji, czyli zapóźnienie w rozwoju społecznym—traktować na wzór młodzieńczości w życiu osobnika, podkreślając szczególnie zalety tego wieku. To się zdarza czasem naszym poetom, piszącym przeciwko Niemcom. Bo w poezji, tak, jak i w miłości, młodość cieszy się szczególnymi łaskami. Tak więc np. Strumpf Wojtkiewicz, w świetnym wierszu „My mamy dość”, drukowanym kilka lat temu w „Tygodniku Ilustrowanym”, pisze:

To wasze słońce już zachodzi
i zajdzie—jeśli tak zechcecie;
to nam, nie wam, dziś miejsce w świecie
oddały losy—myśmy młodzi!

I młodość także stanowi triumfalne zakończenie pięknego wiersza Osmańczyka, poświęconego pamięci Eugeniusza Małaczewskiego:

O bracie mój w Chrystusie, o bracie mój w narodzie,
Słuchajmy pieśni wichru, szumiącej codzień, codzień!
Słuchajmy polskiej pieśni, co morzem się kolebie,
Las szumi, zboża szumią, oddycha ziemia niebem.
Hej dumna to pieśń nasza, potężna i radosna!
To wśród jesiennych narodów szumi Naród-Wiosna!

Wiosna w naszym klimacie, jako poetycki symbol, oznacza ideę wyzwolenia, odrodzenia, rozkwitu sił. Do Polski to się stosuje o tyle, że odzyskaliśmy państwo. Naród nasz nie jest jeszcze całkowicie niepodległy, ale sprawa najważniejsza została już załatwiona. Każdy zaś rok po odbudowaniu państwa przynosi — z trudu naszego i znoju — postęp sił i samodzielności narodowej. Szukajmy istoty polskości w swym sercu i patrzmy prosto w oczy prawdzie, kiedy chwalimy wysiłki i dorobek ostatnich naszych pokoleń.

Oczywiście—mamy tytuły do dumy narodowej: Lwów, Cud nad Wisłą. To są świetlane słupy naszego świtu, wybuchy tej lawy, o której pisze wieszcz, że jej pod plugawą skorupą „sto lat nie wyziębi”. Niemniej jednak dziś jeszcze przypominają się słowa Wyspiańskiego o rzeczywistości która skrzeczy, „włazi w usta, uszy, oczy”.

Używamy tych przenośni, żeby jakoś trafić do duszy omawianego tutaj poety. Zresztą na bezpośredni wywód historyczny brak tu miejsca, a i prasa polska w Polsce nie cieszy się jeszcze potrzebną do tego przedmiotu swobodą publikowania.

Po co zdmuchujemy sprzed oczu młodzieńca z pogranicznego Śląska tę różową mgiełkę, po co gasimy chluśnięciem zimnej wody tę tęczę, którą tak wzruszająco w swetęsknocie ubrał sobie widok zmartwychwstałej Ojczyzny? Bo, jak się okazuje z jego poezyj, sercem czuje prawdę, ale wiedzę swoją o Polsce opiera głównie na fałszywej propagandzie „mocarstwowej”. Bo—taki zastrzyk realizmu to jest szczepienie ospy, aby nie zachorowało się kiedyś poważnie na gorycz, aby nie mógł już stłuc człowiekowi na nosie ró-

---

[1]) Edmund Osmańczyk. „Wolnosc jest słoneczna”. Opole 1937. Str. 64.

żowych szkiełek zaprzysiężony wróg Polski, używszy do lekcji porównawczej swego społecznego ładu i swej potęgi państwowej.

A co najważniejsze — Polska obejdzie się bez tej propagandy, która dziś posługuje się preparatami, produkowanymi specjalnie na użytek Polaków za granicą i cudzoziemców. Ta propaganda, w której przewodniczą literaci żydzi i dyplomaci często żydzi i półżydzi, współdziałający z masonerią zagraniczną—wskazuje na wielkość tam, gdzie jej nie ma, a nie wskazuje na istotne źródła naszej siły narodowej i państwowej.

Opole jest blisko, może uda się kiedy Osmańczykowi przyjechać do Polski na dłużej. Teraz naród macierzysty zdaleka szumi mu, jak wiosna. I zbliska nie będzie inaczej. Zagada do niego ziemia ojców grobami tych, którzy tu pierwsi trzebili puszcze i tutaj budowali swoją słowiańską, a później chrześcijańską kulturę. Kiedy dotknie ręką tego zboża, które mu dzisiaj szumi poprzez poemat Mickiewicza, gdy ujrzy żywe pokolenia, które się tym zbożem wykarmiły i dzieci, które rosną, aby jutro było lepsze — odezwie się w nim zew krwi. Zobaczy, przekona się — skąd są te głosy, które mu śnią się w Opolu, jak wiosna—a kto stoi przy mikrofonach radiowych.

Tak, „młody poeto i bracie"... *Pays legal et pays réel.* Państwo oficjalne—i naród, w trudzie gospodarujący, krwawo nieraz walczący z całą koalicją wrogów — o swój chleb i swoją duszę, przez to państwo wcale nie uprzywilejowany, a przecież stanowiący państwa tego najżywszą, najtrwalszą siłę.

Nie zawsze jest tak, jakbyśmy chcieli, nie zawsze jest tak, jak nam się w słowach wiersza układa. Trzeba pamiętać mit o Anteuszu. Rzeczywistość jest *alma mater* wszelkiej twórczości. Poeta siły i kształty czerpie z siebie— ale też i ze świata, z ziemi i narodu, we współżyciu z tym, co mu jest najbliższe.

Naród polski... Żeby dowiedzieć się, jak ten naród dziś żyje, nie wystarczy nastawić głośnik na Warszawę, pójść na akademię ku czci Marszałka i zapoznać się z tym czy innym organem pułk. Koca. Są i w kraju poeci, którzy na tym poprzestają. Czytujemy czasami „poezje", które z tego wynikły. Gdy życie narodu nie spotyka się z duszą poety, gdy talent osobnika zrywa wszelkie węzły życiodajne z dziejowym geniuszem rasy, gdy artystę karmią namiastkami pośrednicy między nim, a jego ojczyzną—wtedy intuicja twórcza nie działa, talent jest sparaliżowany i człowiek wypisuje takie niezdarne, takie poprostu grafomańsko-nędzne wierszydła, jak np.:

„O pesymisty ze zawodu,
co już wam promień w o l n o ś c i zbrzydł,
o kassandryty sił narodu,
że P o l s k a to nic, bo tu panie, żyd..."

Niestety tak. Jest to wiersz tego samego Osmańczyka. Zatytułowany: „Ślepcom..."

Taki wiersz—to tragizm losów poety. Co za skandalicznie koślawa wersyfikacja! Co za ignorancja w sprawach wewnętrznego życia politycznego i myśli kulturalnej ojczystego narodu! Jakże ponura beztroska tańczącego słowianina, pokrzykującego: byczo jest!

To jest tragizm! Stoimy u polskich granic, a mamy obecność za nic! Od talentów zawisłe igraszki!

Odpuśćmy przecież z serca poecie ten przykry zgrzyt, którym, zapewne nieświadomie, psuje na chwilę tę sympatię, jaką musi poczuć dla niego każdy, czytający jego wiersze Polak.

Państwo narodowe, do którego dążymy, zatroszczy się o każdą rodzinę polską za granicą. Odbuduje autorytet Polski w świecie, co odbije się korzystnie na losie mniejszości polskiej w państwach ościennych i poprawi sytuację naszego wychodźctwa.

Niechaj pomięta o tym każdy, kto nad Odrą stwierdza: Jestem Polakiem!

TADEUSZ DWORAK

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

S e w e r y n B o r k i e w i c z i inż. Z y g m u n t L i n o w s k i. „Monografia historyczna i gospodarcza pow. Jędrzejowskiego". Kielce 1937.

Zagadnienia regionalne ciągle są dzisiaj modne i dzięki tej szczęśliwej modzie, każącej ludziom pamiętać o małym zakątku w którym żyją, lub z którego wyszli — co chwila ukazują się jakieś nowe i ciekawe publikacje. Ostatnio mamy tu do zanotowania fakt wydania przez Jędrzejowski Związek Ziemian źródłowej monografii tego powiatu—opracowanej przez panów Seweryna Borkiewicza i Zygmunta Linowskiego. Jest to praca niemal jedyna w swoim rodzaju, bo o ile mi wiadomo, tego rodzaju monografie mają tylko trzy powiaty: oszmiański —Jankowskiego, kijowski—Rulikowskiego i mohylowski (na Wołyniu)—Górskiego, a więc z rdzennej, gniazdowej Polski żaden.

Znając doskonale okolice o których mowa, jak również wszystkie owe sprawy i ludzi z prawdziwą przyjemnością wertowałem tę książkę. Ale i dla kogoś nie związanego uczuciowo z tym regionem ma ona dużą wartość. Materiał bowiem w niej zawarty jest pierwszorzędnego znaczenia dla historii społecznej i gospodarczej, a, gdy chodzi o część traktującą o teraźniejszości, dla polityki gospodarczej.

Co do usterek, to pomijając już różne pomyłki geologiczne, niestety dosyć liczne — jako rzeczy bardziej obchodzące szerszy ogół wytknąłbym dwie. Przede wszystkim pominięcie Żeromskich i ich historii przy Moksisku, które dzierżawili i gdzie podobno odbył się prototyp kuligu z „Popiołów" i oddanie Kawęczyna na własność fikcyjnemu jakiemuś Moreno, gdy należał on do napoleońskiego generała Ludwika Morand—prapradziadka dzisiejszego pisarza, bo to on właśnie był żonaty z Emilią Parys.

Życzyćby sobie należało, by za piękną inicjatywą jędrzejowskiego Związku Ziemian poszły jaknajszybciej inne, i by jaknajwięcej powiatów Rzeczypospolitej—doczekało się takich jak ta monografij. (K. S. F.)

*

Autor książki „Na tropach Smętka" M e l c h i o r W a ń k o w i c z wydał obecnie w książce swój reportaż z wycieczki na tropach radosnej twórczości. Tytuł książki: „C. O. P.— Ognisko siły — Centralny Okręg Przemysłowy". Wydana nakładem „Roju", zawiera 168 str., w tym 3 mapki i 12 ilustracyj.

Rozdziały: Przedmowa. I. Kraj zapomniany od Boga. II. Rożnów. III. Ujarzmienie Wisły. IV. Zakłady Południowe. V. Sandomierz—przyszła stolica. VI. W Rzeszowie. VII. Siedzi sobie ruda pod miedzą, geolodzy o niej nie wiedzą... VIII. Fabryka celulozy w Niedomicach. IX. Bekoniarnia w Dębicy. X. Sztafeta przeszłości. XI. Rurociąg gazowy. XII. Elektryfikacja. XIII. Drogi w C. O. P. XIV. Bądź współpracownikiem C. O. P.—tęp defetyzm.

Jest to barwny krótki opis wrażeń, odniesionych z wycieczki do Centralnego Okręgu Przemysłowego, oparty przytym na informacjach cyfrowych.

*

S i l o n A n d r e. „Jego ekscelencja ogląda świat". Warszawa 1938. F. Hoesick.

W formie humoreski przedstawia autor, komunista, wady i bóle dzisiejszego ustroju społecznego. Wszystkiemu złu winne są, wedle niego, nacjonalizm, religia, faszyzm. Z jednej strony naród, kościół, prawo własności i militaryzm, z drugiej nędza ludu pracującego. Stara socjalistyczna śpiewka w nowej szacie.

Zachwala wspólnotę własności, wyszydza kościół i wojsko, do istoty wojskowości odnosi się ze szczególnie zjadliwą ironią. Gdyby nie to, byłby raj na ziemi. Tak pisze, jak gdyby nie wiedział, że rządy Bolszewii są zaprzeczeniem najelementarniejszych „praw człowieka". Nie było by więc o czym mówić, gdyby nie oryginalna treść humoreski.

Rządy sprawuje Dyktator, ze sprawną pomocą wojska, policji, żandarmów, więzień i obozów koncentracyjnych, zaś na zewnątrz reprezentuje państwo Ekscelencja. Ten ekscelencja, zauważywszy sprzeczności między sprawozdaniami ministrów a istotnym stanem rzeczy, opuszcza w tajemnicy, w przebraniu, swój pałac i dwór, i podobnie jak legendarny sułtan Harun al Raszyd, idzie w lud. Na dworze wywołuje to zniknięcie nominalnego najwyższego dygnitarza konsternację.

Dyktator zwołuje radę pretorianów i „ryczy jak dzikie zwierzę, — gdzie podział się ten stary dureń?" Wszelkie poszukiwania pozostają bez skutku. Ponieważ jednak osoba Ekscelencji, jako widomy dla poddanych manekin władzy, nieodzownie jest potrzebna, wystarano się o sobowtóra, i w

dalszym ciągu obwożono tę kukłę dla dokonywania aktów państwowych, otwierania wystaw, oglądania parad wojskowych, pochodów, zabaw ludowych, przyjmowania hołdowniczych deputacji itd....

Tymczasem prawdziwy Ekscelencja krąży po kraju i przygląda się odwrotnej stronie medalu.

Autor ukazuje scenami groteskowymi różnicę między poprzednimi wyobrażeniami swego bohatera, a tym co się naprawdę dzieje. Wcale dowcipnie wykpiwa system protekcyjny i łobuzerstwa elity. Natomiast w części teoretycznej i programowej książki, w długich wywodach menerów proletariackich, z którymi się w swej wędrówce Ekscelencja zapoznał, wpada autor w retoryczne wiecowe zakłamanie, i co gorzej, nudzi. (A. W.)

NOWE KSIĄŻKI

Vrtel-Wierczyński Stefan. Staropolska legenda o św. Aleksym. Na porównawczem tle literatur słowiańskich. Poznań 1937. Poz. Tow. Prz. Nauk. (Prace Kom. Filol. IX). Str. X, 323 i plansze.

Piłsudski Józef. Pisma zbiorowe T. IX. Warsz. 1937. Inst. bad. najn. historii. S. 332.

Burdecki Feliks dr. Opanowanie materii. Książka o zdobyczach polskiej nauki w dziedzinie chemii, fizyki, astronomii i geofizyki. O polskich wynalazcach i inżynierach oraz o polskich pionierach lotnictwa. Warsz. Wyd. M. Arcta, (wiele ilustr.). Str. 191.

Nakładem Tow. Wyd. „Rój" Warsz. 1938 — ukazały się przed gwiazdką:

Grabski Stanisław. Ku lepszej Polsce. Str. 245.

Krzyżanowski Julian Prof. Od średniowiecza do baroku. Str. 380.

Kossak Zofia. Szaleńcy Boży. Z barwnymi ilustr. Leli Pawlikowskiej. Str. 182.

Wasilewska Wanda. Ziemia w jarzmie. Powieść.

Gojawiczyńska Pola. Dwoje ludzi. Powieść.

Martin du Gard Roger. Piękne czasy.

Undset Sygryda. Olaf syn Auduna i jego dzieci. Powieść.

ZE ŚWIATA SZTUKI

DWA SALONY

O SALONACH dorocznych IPSu i Zachęty pisałem już niezliczoną ilość razy. Opisałem je wszerz i wzdłuż, scharakteryzowałem także stałych (mniejwięcej) uczestników tych imprez, tak iż nie pozostaje mi nic innego, jak odesłać, żądnych podstawowych wiadomości w tym zakresie czytelników, do poprzednich roczników „Myśli Narod." (Tu się okaże dopiero ile zyskują stali prenumeratorzy. .).

Ponieważ ostatnie, doroczne pokazy obu instytucyj nie przyniosły nic takiego, coby świadczyło o wkroczeniu sztuki naszej na nowe, odmienne tory i nie zwiastowały też nowych, nieznanych jeszcze talentów, ograniczę się tym razem do informacyjnej notatki. Oczywiście wymienię wybitniejsze dzieła, oraz nazwiska tych młodszych, mniej znanych szerszemu ogółowi, artystów, których należałoby przedstawić publiczności. A więc pełne charakteru, wyrazu i wartości malarskich są oba wielkie obrazy prof. Kowarskiego, tego zawsze interesującego artysty, który nas zaciekawia swą sztuką, nawet wtenczas, gdy z nim się nie zgadzamy. Podobały mi się także oba płótna Dołżyckiego, pejzaż i kwiaty.

Młody malarz, Bartoszek, w swej „Kuźni", jak dobry kapelmistrz, stara się zagrać całością obrazu i pokazać, że wszystkie miejsca są w nim jednakowo ważne i pod względem sensu kolorystycznego ze sobą sprzęgnięte.

Geppert nie zważając na to, że ułan to temat „patriotyczny" i przez „kapistów" wyklęty, namalował takowego w sposób wcale nie uwłaczający porządnemu malarzowi. Wymienimy pozatem: M. Bylinę, H. Pachniewską, Jaesche, Wodyńskiego, Potworowskiego, Rychtarskiego, Słomczyńskiego, Tyszkiewiczową, Wąsowicza i Krystynę Pieniążkównę.

Choć Zachęcie ton nadają starsi malarze i jest ona przez wielu uznawana za twierdzę konserwatyzmu, nie znaczy to jednak, aby młodzi od niej stronili. Pan Tytus Czyżewski, pisząc w „Wieczorze Warszawskim", ze sporą dozą słuszności obie instytucje IPS i Zachętę sobie przeciwstawił. Nie zauważył przytem jednak, (a może nie chciał zauważyć...) jak wielu malarzy wystawia na obu Salonach jednocześnie. Oto nazwiska wyłowione na chybił trafił: St. Appenzeller, B. Baake, J. Betley, T. H. Dąbrowski, T. B. Frydrysiak, Wł. Hofman, St. Just, A. Kędzierski, A. Łyżwański, H. Pachniewska, M. Rouba...

I wszystko to się dzieje bez żadnego „rozdwajania jaźni" malarskiej. Takie odwiedzanie Zachęte złem mi się nie wydaje i namawiam do tego samego panów Kapistów.

Ze starszej generacji, W. Weiss, wystawił w Zachęcie dwa akty, tym razem zbyt już przecukrzone i zbyt wymodelowane. Jest także Kossak, Mehoffer, Filipkiewicz, Pieńkowski, Pochwalski. Z młodszych wyróżniają się: St. Dybowski, H. Krych, St. Karniewski, K. Poczmański, (uczciwe studium).

W skrupulatnym portrecie pani A. S., Jana Smyka, są obiecujące zadatki wyrazu. L. Jagodziński wziął się do poważnej pracy artystycznej. Wysiłek artysty, wsparty o wrodzone zdolności, będzie dawał coraz lepsze rezultaty. Pewne niezdecydowania w jego „Madonnie" należą do usterek, z których malarz prędko się wyzwoli.

Muszę jeszcze wspomnieć o popularnym artyście, Lasockim. Obojętny na współczesne prądy malarskie, zachowuje jednak zawsze uczciwą postawę wobec natury. Jego „Owce" posiadają sporo dobrych partyj (stado i część drzew nad niem).

Świeży i zręcznie namalowany jest pejzaż Sipińskiego. Praca Eleonory Lipkówny ma dużo miłego, panieńskiego sentymentu i trochę nieśmiałości w kolorze.

WIKTOR PODOSKI

FILM

CASINO: „Halka", reż. J. Gardan.

Już raz przerabiano na ekran utwór Moniuszki i wyszła z tygo okropna szmira. Wspomnienie tej tandety może odebrać wielu ludziom ochotę do obejrzenia ponownej próby. Trzeba przyznać, iż tym razem autorzy nowej „Halki" wykazali dużo dobrej woli i rzetelności. Starania ich zostały uwieńczone rezultatem naogół dodatnim. Wady utworu, zwłaszcza drugiej jego części, wynikają nie z niedbalstwa, ale z niewłaściwego, zbyt teatralnego ujęcia roli Halki. Wraz ze swymi wadami, oraz zaletami części pierwszej, stanowi ta przeróbka typowy i nader pouczający przykład tego, co jest i tego co nie jest dla filmu właściwe. A więc na początku mamy szereg żywych, dobrze ze sobą przetasowanych scenek-obrazków, trafne użycie materiału aktorskiego, bez mimicznych nadużyć i wygrywania się. Treść plastyczna ekranu zmienia się razporaz i ta część wizualnie jest zajmująca.

Zdrada panicza nie wychodzi jednak filmowi, ani Halce, na dobre. Reżyser, pragnąc pokazać całą skalę przeżyć nieszczęsnego dziewczęcia, uwięził je na długo przed objektywem aparatu. Od tej pory nie możemy się uwolnić od widoku cierpiącej. Pani Zielińska w roli Halki stara się i ro-

bi co może i nie możemy jej wcale winić, tylko reżysera, który w tych fragmentach potraktował jej rolę nazbyt już teatralnie. Halka szaleje, Halka rozpacza, Halka cierpi i my też cierpimy i radzibyśmy jaknajprędzej również ją porzucić, by obejrzeć nareszcie coś innego, chociażby te piękne widoki gór, które ozdabiają film.

Drugie zastrzeżenie dotyczy sposobu podania treści plastycznej podczas śpiewania znanych aryj. Należało melodię pieśni, jej rozlewność, połączyć w całość z szerokim oddechem dali przestrzennych górskich plenerów, pocóż jeszcze, aż do końca arii, ukazywać postać śpiewaka, w zbliżeniu, na tle dekoracji w atelier. Widok otwartych ust śpiewającego nikomu do szczęścia potrzebny nie jest.

W sumie: film staranny i poprawny, a wcale dobry w pierwszej połowie.

KANDYD

W ROZMÓWNICY

O PRAWDĘ HISTORYCZNĄ

Otrzymaliśmy list następujący:

W związku z artykułem p. Tadeusza Mildnera w „Myśli Narodowej" z dn. 21. XI. 1937 r. p. t. „Polski czyn zbrojny w czasie Wojny Światowej", prosimy o umieszczenie w wyżej wspomnianym piśmie następujących wyjaśnień i sprostowań:

P. Tad. Mildner pisze: „Gen. Dowbor Muśnicki wysłał dn. 24 stycznia 1918 roku ostre *„ultimatum"* do naczelnego wodza Krylenki... Dalszą konsekwencją owego nieopatrznego *„ultimatum"* był rozkaz Krylenki, wstrzymujący dostawę żywności i pieniędzy ze skarbu rosyjskiego dla I Polskiego Korpusu"......

Wyjaśniamy: Wojna pomiędzy I Korpusem a armią bolszewicką powstała nie na skutek „nieopatrznego" *ultimatum*, wysłanego przez Gen. Dowbor Muśnickiego do Krylenki, ale wskutek nieustannych prowokacyj i zbrojnych napadów ze strony bolszewików, które godziły w byt i honor żołnierza polskiego.

Plan rewolucji wszechświatowej, powstały w umysłach żydowsko - komunistycznych władców ówczesnej Rosji, w tworzącej się Armii Polskiej napotykał na nieprzezwyciężoną przeszkodę w realizowaniu swoich planów.

Armia Polska stała przecież na gruncie narodowym, chrześcijańskim, wykluczającym marksizm we wszystkich jego odmianach. Armia ta budowę swoją oparła na dyscyplinie, usuwającej pierwiastek rewolucyjny ze swych szeregów.

Stanowisko I Polskiego Korpusu i jego stosunek do bolszewizmu należycie określił Gen. Dowbor Muśnicki w rozkazach nr 31 z dn. 17.9.1917 r. — nr 36 z dn, 18.9.1917 r., — nr 63 z dn. 21.10.1917 r.[1])

Przeciwstawienie się planom międzynarodówek i myśl o Niepodległej Polsce, oparta na nacjonaliźmie i kulturze Rzymsko Katolickiej, były przyczyną bohaterskich, zwycięskich walk z bolszewikami.

A że Gen. Dowbor Muśnicki przez swoje *„ultimatum"* powstrzymał dostawy żywności i pieniędzy ze skarbu rosyjskiego dla swoich żołnierzy, to tylko dobrze świadczy o Generale i jego Korpusie!

Oświadczaliśmy już nie raz i oświadczać zawsze będziemy, że I Korpus Polski przysięgał służyć tylko Polsce (Rozkaz nr 154 z dn. 11 marca 1918 r.).

Służba ta była czysta i bezinteresowna i dla tego Korpus nie chciał i nie mógł pozostawać na żołdzie najeźdcy, nawet gdyby z nim nie był w zbrojnym konflikcie.

Błędny i wysoce krzywdzący pamięć Generała Dowbora Muśnickiego, jako Polaka i Żołnierza, jest ustęp w artykule p. Mildnera, iż.... „stała się rzecz, która musi smutkiem przejąć każdego Polaka. Wbrew stanowiska całego Polskiego Narodu, Gen. Dowbor Muśnicki na własną rękę wszedł w porozumienie z Niemcami, a nawet oddał im w czasie ofenzywy (??) znaczne usługi".......

Gen. Dowbor Muśnicki zawsze był zdecydowanym wrogiem Niemiec. W słynnym swoim rozkazie do I Polskiego Korpusu nr 2 z dn. 25. 7. 1917 r. wypowiada historyczne, pełne głębokiej prawdy politycznej, słowa: „Najzawziętszym wrogiem Polskiego Narodu były, są i zawsze będą — Niemcy.

Wskrzeszenie Polski, to groźne niebezpieczeństwo dla potęgi niemieckiej i odwrotnie — zwycięstwo Niemiec — to zguba Polski"......

Powyższy pogląd Gen. Dowbor Muśnicki potwierdzał czynem. Znane są w historii Wielkiej Wojny jego zwycięskie walki na czele dywizji rosyjskiej z armią niemiecką.

Rozbicie Korpusu austriackiego gen. Wittman'a dn. 26 9.1914 r. Walki z korpusem niemieckim pod Łodzią, Przasnyszem, gdzie Gen. Dowbor Muśnicki otrzymał 5 kul z karabinu maszynowego i..... sławę; walki nad Dźwiną z... ciężką kontuzją[2])

Tworząc I Polski Korpus Generał nie zmienił swego stanowiska do Niemców, właśnie przygotowywał przyszłe wojsko polskie do walki z Niemcami.

P. Mildner pisze o nieokreślonym bliżej „stanowisku całego Polskiego Narodu"......

Jeśli chodzi o to stanowisko, to po pierwsze, Korpus odcięty od Polski nie wiele wiedział, co się za kordonem dzieje, a wszelkie próby uzyskania informacji nie odnosiły zamierzonego skutku, wystarczy wspomnienie o tragicznej misji ś. p. płk. Bolesława Mościckiego.

Powtóre Naród Polski nie miał ściśle określonego „stanowiska" (naprzykład orientacja legionowa, szukająca oparcia o Państwa Centralne).

Nieprawdą jest twierdzenie p. Mildnera, iż Gen. Dowbor Muśnicki poddał Korpus Radzie Regencyjnej; ta zaś wcieliła I Pol. Korp. do *„Polnische Wehrmacht"* oddając go pod rozkazy gen. gubernatora Beselera. Beseler jako główny dowódca Polskiej Siły Zbrojnej", zarządził..... demobilizację I Polskiego Korpusu, itd......

W liście Rady Regencyjnej do Gen. Dowbor Muśnickiego z dn. 6. 3. 1918 r. niema wcale mowy ani o wcieleniu I Pol. Korpusu do Wehrmachtu, ani o gen. Beselerze. Natomiast znajduje się oświadczenie, że I Pol. Korp. jest pierwszą, niezależną od nikogo — polską siłą zbrojną, która przysięgła służyć Bogu i Ojczyźnie i uznaje nad sobą Radę Regencyjną jako niezależną Władzę Państwa Polskiego.

Rada Regencyjna była tak dalece ostrożna w dysponowaniu I Pol. Korp. iż w tragicznych dla Korpusu chwilach, kiedy ten był otoczony przez wielokrotnie większe siły niemieckie, zwolniła Gen. Dowbor Muśnickiego i żołnierzy z przysięgi, dając Dowódcy wolną rękę w działaniu.

Rada Regencyjna wyraziła jedynie swój pogląd, że leży w interesie narodowym uniknięcie ostrego konfliktu (z Niemcami) i „że przejście na Wschód grozi zagładą cennej... polskiej jednostki bojowej"...

Gen. Dowbor Muśnicki po ciężkiej walce z samym sobą, zgodził się na demobilizację.

Wyjaśnia to swoje stanowisko w następujący sposób; „Pytano dla czego zamiast demobilizacji nie zacząłem walki z Niemcami? Moim nieszczęściem jest, że jestem wojskowym wykształconym. Nauka zaś głosi, że wojsko utrzymuje się w celu zwycięstwa; cel każdej walki musi być ugruntowany. W takich warunkach, w jakich się znalazł I Pol. Korp., nie było co liczyć... na powodzenie...... Miałem około 29 tysięcy ludzi — do walki było zdolnych najwyżej 10 tys. bagnetów i 2 tys. szabel przy 60 działach — przeciwko trzem korpusom niemieckim z 36 działami ciężkimi i 150 lekkimi armatami. Niemcy mieli jeszcze tą przewagę, że w ich szeregach nie panoszyła się konspiracja.

Miałem stracić kilka tysięcy ludzi, prowadząc ich zdecydowanie na rzeź, a sam wyrosnąć na pobitego bohatera.

Może pozyskałbym tym rzeczywiście zachwyt domorosłych polityków i strategów....."[3])

Przyszłość wykazała, że Gen. Dowbor Muśnicki postąpił mądrze i pożytecznie dla Polski, — poświęcił samego siebie, rezygnując z zaszczytu „pobitego bohatera", aby tylko nie zmarnować niepotrzebnie żołnierzy, którzy swój los oddali w jego ręce.

Kiedy nadszedł odpowiedni moment (listopad 1918 r.), żołnierze I Pol. Korpusu pierwsi chwycili za broń, wypędzając z Polski okupantów. Żołnierze ci stali się w wielkiej mierze podwaliną tworzącej się Armii Polskiej - Niepodległej.

Naród Polski również dobrze zrozumiał stanowisko Gen. Dowbor Muśnickiego w stosunku do demobilizacji I Pol. Korpusu, skoro w 1919 r. powierzył Generałowi obronę Zachodnich granic Polski i zorganizowanie Wojska Wielkopolskiego do walki z Niemcami.

W imię prawdy historycznej, prawdy bez domieszek, bez żadnych legend i fałszu, prawdy, której godnie służył ś. p. Wielki Wódz i Wielki Człowiek — Gen. Dowbor Muśnicki i której starają się służyć żyjący jeszcze dziś w Polsce b. żołnierze I Polskiego Korpusu, — zechce „Myśl Narodowa" powyższe oświadczenie ogłosić na łamach swego pisma.

ST. TWORKOWSKI

Członek Komitetu Historycznego I Pol. Korp.
Warszawa, listopad 1937 r.

---

[1]) Józef Dowbor Muśnicki, „Moje wspomnienia", załączniki.

[2]) Józef Dowbor Muśnicki, „Moje wspomnienia".

[3]) Dowbor Muśnicki „Moje wspomnienia".

POKŁOSIE

NA MARGINESIE WOJNY WSCHODNIEJ

REORGANIZACJA, czy podbój Chin, jaki przedsięwzięła Japonia, godzi w interesy mocarstw anglosaskich, poważnie tam zaangażowanych, w interesy niebylejakie. A tymczasem mocarstwa te wykazują niezwykłą wprost wyrozumiałość i cierpliwość wobec ataków japońskich, wyglądających wcale bezceremonialnie.

Samochód angielskiego ambasadora w Chinach został przez Japończyków ostrzelany i sam ambasador poważnie poraniony, statki angielskie zaatakowano, a kanonierkę amerykańską nawet zatopiono. Wszystko to akty niewątpliwie bardzo dotkliwe dla *prestige'u* tych państw, ale ostatecznie chodzi tu tylko o „honor", który nieraz w takich razach chowa się do kieszeni, gdy tego okoliczności wymagają. Są jednak fakty innej kategorii, mające już całkiem realną wagę: Japończycy opanowali już wszystkie prawie porty chińskie, mające znaczenie dla handlu zewnętrznego i kierują się obecnie na Kanton, co zakończy tę operację, w rezultacie której będą mogli rozciągnąć kontrolę nad całą międzynarodową wymianą olbrzymiego terytorium chińskiego. Nikt chyba niema wątpliwości czem to pachnie, japońska ofenzywa handlowo-przemysłowa zagraża interesom anglosaskim nie od dziś. Są już zresztą fakty, bynajmniej nie dwuznaczne. Więc w Tientsinie urzędnicy angielscy, zarządzający cłami, z których wpływy idą na obsługę pożyczek chińskich, otrzymali od japońskich władz okupacyjnych nakaz, aby tę część wpływów z ceł deponowali w jednym z banków japońskich; można przypuszczać, że na wiadomość o tym angielscy posiadacze walorów chińskich nie poczuli się zbyt dobrze, tymbardziej, że to rozporządzenie uważane jest za wstęp do całkowitego usunięcia angielskiej administracji celnej i zastąpienia jej przez japońską.

Tego rodzaju posunięcia japońskie usprawiedliwiłyby energiczne kroki ze strony Anglii i Stanów, a tymczasem na razie widzimy tylko wyrozumiałą wymianę spokojnych not, niezbyt zresztą ze strony Japonii potulnych.

No, oczywiście wykazanie energii, kiedy się jest oddalonym od teatru działań o dziesiątki tysięcy mil, nie jest rzeczą łatwą, ale przecież zawsze mówiono światu, że polityka angielska ma właśnie na celu to, żeby w każdej chwili móc stanąć w obronie interesów imperium w każdym punkcie globu. I dotychczas tak bywało. Czyżby się to zmieniło?

Na to wygląda. Potężna baza morska w Singapoore pochłonęła i pochłania olbrzymie sumy, ale w świetle tych wydarzeń nabiera jakby charakteru czysto obronnego, jakiejś zapory, która ma za zadanie niedopuszczenie Japończyków do dalszego pochodu na południe, ku Indiom, a jakoś nie widać, żeby była gotowa do wypadu na północ.

Przychodzi na myśl to co niedawno pisała prasa francuska o nowej doktrynie wojennej, jaka rzekomo zaczyna przeważać w Anglii. Doktryna ta stawia na pierwszym miejscu właśnie defenzywę. Wychodzi z założenia, że przy dzisiejszej potędze materialnych środków walki działanie ofenzywne mało ma szans osiągnięcia swego celu, tzn. zadania przeciwnikowi decydującego ciosu. Lepiej jest wobec tego kultywować defenzywny sposób działania i pozwolić raczej przeciwnikowi wyczerpywać swe siły w bezpłodnych atakach. Taka ma być nauka, wyciągnięta przez angielskich strategów z przebiegu wielkiej wojny i taką ma być metoda postępowania Anglii na przyszłość. A więc rozwinięcie do potężnego stanu lotnictwa bojowego, aby przeciwnik nie miał ochoty niszczenia kraju nalotami powietrznymi, gdyż sam narazi się na natychmiastowy odwet, a poza tym doprowadzenie urządzeń obronnych w kraju do najwyższego stopnia doskonałości i wyczekiwanie za nimi na załamywanie się ataków nieprzyjaciela, lecz nie wychylanie się poza nie. O wysyłaniu np. armii ekspedycyjnej na kontynent, jak to było podczas wielkiej wojny, dziś nie ma być mowy.

Taką teorię przyszłej wojny rozwijano przez czas dłuższy na łamach tak poważnego pisma, jak „Times". Jest to teoria wybitnie wyspiarska. Nie wiadomo, rzecz jasna, czy istotnie została przyjęta przez czynniki decydujące, ale można przypuszczać, że odpowiada nastrojowi opinii, bynajmniej w ostatnich latach nie ofenzywnemu. Teoria nasyconych posiadaczy, pragnących utrzymać to co mają, a rezygnujących z dalszych zdobyczy. Czy miałoby to zastosowanie nietylko do wysp angielskich, lecz do całego światowego imperium? Ale czy można utrzymać to, co się ma, za pomocą tylko defenzywy? Dotychczas panowało przekonanie, że nie.

Wszystko to są oczywiście domysły i spekulacje, ale gdy się je zestawi z trudnościami, odczuwanymi przez Anglię przy uzupełnianiu stanu liczebnego armii i floty, potwierdzającymi sądy Romana Dmowskiego w tej materii, to te domysły nabierają realnego znaczenia, a bierne przyglądajapońskiej agresji także przestaje się wydawać nie się tymczasowym wyczekiwaniem na stosowną chwilę do działania.

ARGUS

NA MARGINESIE

W kawiarni.

— Komuby się należało wysokie stanowisko polityczne — to Zetowskiemu. To panie głowa!

— Chemik może?

— Mechanik. Ale właśnie taki potrzebny. Wyobraź pan sobie — wymyślił mechanicznego kota. W oczach dwie latarki, a z tyłu—czerwona. Jak w samochodzie.

— Zapewne, taki polityk odwróci kota ogonem i nie każdy się wyzna, że to kot. Ale jeśli panu chodzi o motoryzację społeczeństwa, to mówię panu ten Posada-Iksiński byłby lepszy. Jego pomysły panie, są wprost genialne. Wynalazł typ wozu—przednie koła maleńkie, a tylne ogromne. Jak pan taki wóz przystawisz do góry, to mu się wydaje, że idzie po równem. A po równem pędzi, bo mu się zdaje, że jedzie z góry.

— Owszem, owszem, nie przeczę—pomysłowy! Możnaby ich przecież jakoś skombinować. Takich dwu — pomyśleć tylko! Lepiejby się sprawy — jak mówią na Litwie — pokociły.

Nie żałuj pieniędzy na prasę narodową!

CZAS ODNOWIĆ PRENUMERATĘ NA

„MYŚL NARODOWĄ"

NA ROK 1938

PRENUMERATA WYNOSI:

Całoroczna zgóry	32 zł.
Kwartalna „ „	9 zł.
Półroczna „ „	17 zł.

Kwoty do 50 zł. przesyłać można bezpłatnie za pośrednictwem załączonych blankietów rozrachunkowych, które także można nabywać na poczcie w cenie 1 grosza.

Należy przypisać konto rozrachunku pocztowego Myśli Narodowej Nr. 98.

Konto czekowe P. K. O. 3105.

JUŻ WYSZEDŁ Z DRUKU

Tom VII

Pism Romana Dmowskiego

ŚWIAT POWOJENNY

i

POLSKA

TREŚĆ: Bez programu gospodarczego *St. Rymara.* — Przebudowa ustroju Francji *L. Gembarzewskiego.* — Fałszywa historia kultu Mickiewicza *St. Pigonia.* — Oto człowiek *B. Obertyńskiej.* — Na widowni *K. S. Frycza.* — Głosy. — Nauka i literatura. — Nowe książki. — Ze świata sztuki *W. Podoskiego.* — Film *Kandyda.* — W rozmównicy *St. Twarkowskiego.* — Pokłosie *Argusa.* — Na marginesie.

Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45. Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI.

Druk. SPOŁECZNA. Pl. Grzybowski 3/5. Tel. 205.80 PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.